

OPOWIECIE.INFO

MAGAZYN WOJEWÓDZTWA OPOLSKIEGO

MIESIĘCZNIK

NUMER 03 (44) / 2022

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISSN 2657-3164



zawsze pewnie / zawsze konkretnie

www.opowiecie.info

Naszych absolwentów nie dotyczy problem bezrobocia



Fot. Anna Pleva

Już po raz trzeci przyszli absolwenci opolskich szkół podstawowych odwiedzili WZDZ w Opolu. >8

Prywatne spółki do odstrzału



Fot. Top Farms

Teraz ziemia jest niezłym biznesem, a Top Farms, to największy producent chipsowych ziemniaków w Europie. >16

W Łubnianach rywalizowali najlepsi skacsi



Fot. Gmina Łubniany

Mistrzostwa województwa opolskiego oraz otwarte zawody skata sportowego odbyły się w ŁOK. >30

LUDZIE OTWIERAJĄ SERCA, PORTFELE I MIESZKANIA

Opolanie niosą doraźną pomoc, ale trzeba pomyśleć o pomocy na dłużej, bo nikt nie wie, ile potrwa wojna na Ukrainie. > 28

Fot. Jolanta Jasińska-Mrukot

Piszemy o Was i dla Was

Codziennie świeża porcja informacji w naszym portalu Opowiecie.info. Znajdziecie tam wiadomości z całego regionu.

MASZ SPRAWĘ?

Napisz lub zadzwoń:

✉ info@opowiecie.info

☎ 77 400 79 32

Zespół magazynu i portalu

www.opowiecie.info



ŁUKASZ KOŁODZIEJ
WŁAŚCICIEL

TO MENTALNOŚĆ CZYNI WIOCHE, A NIE GEOGRAFIA

Między nami, Polakami opolanami, rozgorzały emocje, prezydent Arkadiusz Wiśniewski, chcąc obrazić naszą redakcję, nazwał nas „niszowym portalem”. Więć z tego miejsca, czyli drugiej strony magazynu „Opowiecie.info”, pragnę zwrócić panu prezydentowi uwagę, że jesteśmy nie tylko portalem, i wcale nie „niszowym”, ale także wydaniem papierowym.

Łatwo się mędrkuje za publiczne pieniądze, a tak właśnie się dzieje, bo z publicznej kasy utrzymywana jest liczna redakcja przy opolskim ratuszu. Są dziennikarze, fotoreporterzy, a nawet dron. Ale po co?

Spieszę więc poinformować, że ten nasz „niszowy portal” (plus wydanie drukowane magazynu „Opowiecie.info”) powstał z prywatnych pieniędzy, wypracowanych w pocie czoła, a nie jak prezydencki portal – z podatków opolan.

Nasze niezależne medium jest zawsze blisko tych, którzy potrzebują pomocy. I tak było, kiedy gmina Dobrzeń Wielki walczyła, bo nie chciała przyłączenia do Opola. Prezydent nie słuchał ludu, bo nie dla niego „głos ludu głosem Boga”. I nie zrażały go protesty i prośby, wprost przeciwnie, ścigał na nas prawicowych polityków Solidarnej Polski mających awersję do Niemców.

Czyżby prezydent nie miał refleksji, kiedy widział prowadzących głódówkę w dobrzeńskim Domu Kultury w imię patriotyzmu lokalnego? Prezydent, nie licząc się z ludźmi, chciał przyłączenia

i przyłączył część gminy do Opola, choć to siłowe rozwiązanie w żadnym razie nie licuje ze współczesnym samorządowcem i demokratą, za jakiego chce uchodzić prezydent.

Można się zastanawiać, po co prezydentowi (z publicznych pieniędzy) aż taka redakcja i takie medium? Zapewne w celu stworzenia własnego wizerunku wyjątkowego gospodarza. W kreowaniu wizerunku i stwarzaniu pozorów prezydent ma mistrzowskie papiery. Panie prezydencie, niech pan nie robi z Opola prowincjonalnego grajdołka.

A skoro już o byciu blisko ludzi, to w minionych dniach nasze medium było blisko uchodźców z Ukrainy oraz tych, którzy udzielają im pomocy. Ten odruch serca i zryw pomocowy opolan napawa optymizmem. Niewątpliwie piszemy nowy rozdział w historii polsko-ukraińskiej. Póki co nie zastanawiamy się nad tym, co będzie później, być może tak być musi. Ale refleksja z wolna powinna się już pojawiać, skoro Polska przyjęła już ponad milion naszych ukraińskich braci. Gdzie pójdą do pracy, gdzie w tym czasie będą ich dzieci. Przyjechali też emeryci, oni wszyscy będą potrzebowali naszej pomocy i naszego domu – Polski. Informacje na ten temat dostarczają i będą Państwu dostarczać nasi dziennikarze naszego „niszowego portalu”, jak nazwał nas prezydent Arkadiusz Wiśniewski. Ale nie czujemy się przez to gorsi, dzięki Wam, którzy nas czytacie. Nie geografia czyni prowincję, ale mentalność.

Zachęcam do lektury Magazynu Opowiecie.info

OPOWIECIE.INFO – MAGAZYN WOJEWÓDZTWA OPOLSKIEGO

ul. Namysłowska 40, 46-081 Dobrzeń Wielki

info@opowiecie.info; www.opowiecie.info

tel. 77 400 79 32

MARKETING:

marketing@opowiecie.info | reklama@opowiecie.info

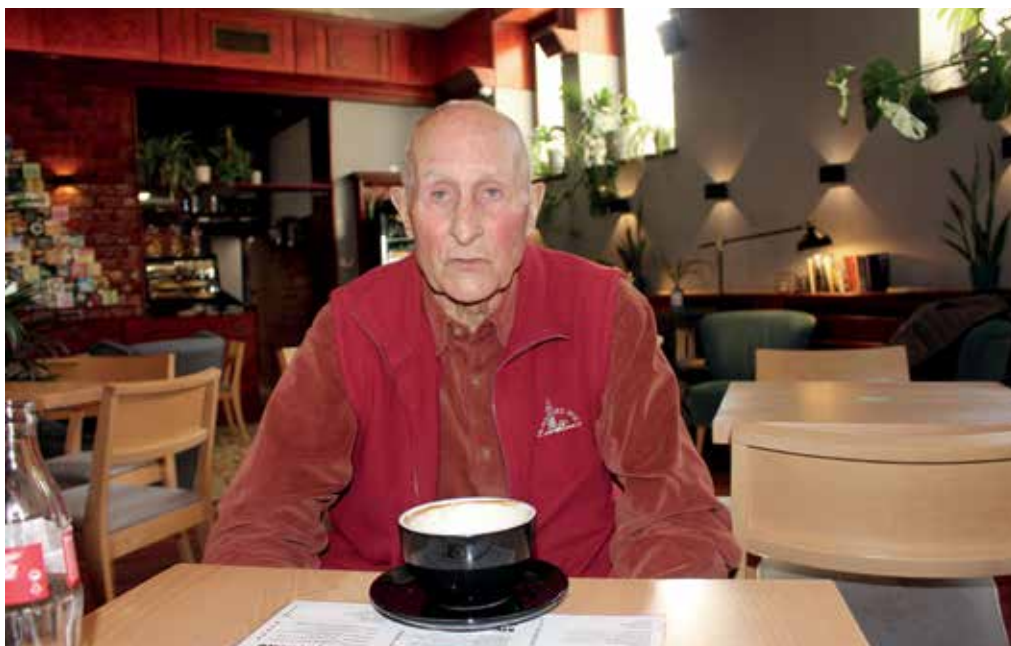
KOREKTA: Redakcja Opowiecie.info i Olaf Pajączkowski

WYDAWCA: Opowiecie.info Joanna Kołodziej,

46-081 Dobrzeń Wielki,

ul. Sokółów 3; NIP 7541544353; REGON 38114051730

WIEM, CO CZUJĄ UKRAIŃCY UCIEKAJĄCY ZE SWOICH DOMÓW



REPORTAŻ

– Kiedy zobaczyłem rosyjskie bombardowanie Ukrainy, to wszystko wróciło, stanęło przed oczami, tak, jakby to było wczoraj – mówi 84-letni Tadeusz Witkowski z Opola, inżynier, sportowiec i trener. Wróciły wspomnienia wojny, wypędzenia, tułaczki i utraty rodzinnego domu.

JOLANTA
JASIŃSKA-MRUKOT

Pan Tadeusz nie wszystko pamięta ze swojej wojennej tułaczki od 1939 do 1945 roku, niektóre wydarzenia stały się białą plamą. Inne wbiły mocno w pamięć małego dziecka i trudno się ich pozbyć do dzisiaj.

Z opowieści mamy wie, że rok przed wybuchem wojny po Gdańsku pałтели się bojówkarze, wykrzykiwali „Gdańsk niemiecki”. Ale nikt ich wtedy poważnie nie traktował.

– Wojna od dawna wisiała w powietrzu, ale nie dopuszczano myśli, że kiedykolwiek wybuchnie – mówi pan Tadeusz.

Tak, jak teraz na Ukrainie...

Przez mgłę pamięta ostatnie dni gorącego sierpnia 1939 roku. Jak ojciec na plaży w Gdyni nosił go „na barana”.

– Dokładnie pamiętam już wypędzenie, choć miałem zaledwie 2,5 roku – zaczyna opowiadać pan Tadeusz, ciągle pełen energii.

Te dni tkwią w głowie jak odłamki szrapnela...

– Była już jesień, październik 1939 roku, przejeżdżaliśmy przez Warszawę i mocno padał deszcz – wspomina.

Przenikliwy chłód, zapłakana matka i niepewne jutro tłoczących się na dworcu ludzi. Dla małego dziecka coś się działo, bo wypędzeni zostali z ich własnego domu w Gdyni Orłowie, którego nie pamięta.

Zdzisław, starszy brat pana Tadeusza, rocznik 1935, pamięta wszystko dobrze.

– Wypędzenie zapamiętał jako dramat, bawił się na podwórku, a tutaj trzeba nagle opuszczać dom... – opowiada pan Tadeusz.

Dom, czyli siedmiopokojowa willa otoczona wielkim ogrodem, do której już nigdy nie wrócił. Choć w tamtej chwili nawet nie przychodziło im to do głowy. Miejsca stworzonego przez architekta, inżyniera Ludwika Witkowskiego, ojca Tadeusza, odpowiedzialnego za budowę miasta i portu Gdynia, a także innych budowli portowych.

Pamięć, niepamięć...

– Mama znała niemiecki, potrafiła z nimi rozmawiać, więc dostaliśmy trochę więcej czasu na opuszczenie domu, bo 48 godzin – mówi pan Tadeusz. – A po latach nawet pytałem mamę, czy rzeczywiście w październiku 1939 staliśmy na boczniczy na Dworcu Wschodnim w Warszawie.

Jego pamięć utrwaliła tyle, że do pociągu wpadli Niemcy i siłą wyciągali ludzi.

– Ale nam, wysiedleńcom spod Gdańska, pozwolono jechać do Lublina – opowiada.

Jak to możliwe, że pamięć 2,5-letniego dziecka coś utrwala na całe życie?

– Z tego wczesnego okresu coś pamiętam, potem rok, półroczek ucieka, jest białą plamą... – zamyśla się pan Tadeusz. – Ale 1941 rok już dokładnie pamiętam, bo w tym roku w marcu przyszła na świat nasza siostra Irena, późniejsza rekordzistka Polski w pływaniu...

Potem była tułaczka po Lubelszczyźnie, zmieniali dom za domem.

– Była nas już trójka dzieci, a mama szukała gniazda, by nas wykarmić – opowiada.

Trafili do Łańcuchowa, gdzie zostali na dłużej. A w maju 1940 po ojca pana Tadeusza przyszli Niemcy. Na ich czarną listę inżynier Witkowski trafił za przynależność do Polskiego Związku Zachodniego.

– Tato ukrywał się na Lubelszczyźnie, we wsi pracował u kowala, ale odwiedzał nas – wspomina. – Niemcy mieli nasz dom pod obserwacją, wiedzieli, że jesteśmy wysied-

(Dokończenie na str. 4)

leńcami, a tato czasem do nas przyjeżdża.

Któregoś dnia zdyszana sąsiadka Żydówka przybiegła do mamy, że gestapo pytało o Ludwika Witkowskiego. Pytało i w końcu znalazło, Ludwik Witkowski trafił do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu i w Neuengamme.

Do tego obozu pracy trafiali inżynierowie, konstruktorzy, mieli pracować na rzecz niemieckiego przemysłu. Im pozwolono przetrwać do końca wojny.

– Kiedy widzę teraz wojnę na Ukrainie, to wszystko wraca tak, jakby to było wczoraj – przerywa na chwilę. – Trudno to zrozumieć. Jakby nie wystarczyło okrucieństwa tamtej wojny, sprzed siedemdziesięciu siedmiu lat.

Zaradna Kaszubka

Mama pana Tadeusza, Kaszubka z Wejherowa ze znajomością języków, z trójką małych dzieci musiała radzić już sobie sama.

– Osiedliśmy w Łąncuchowie, posiadłości hrabiego Rzewuskiego, gdzie zostaliśmy już niemal do końca wojny – opowiada pan Tadeusz. – Ten majątek przejęli Niemcy na potrzeby Wehrmachtu. Tam zatrzymywali się oficerowie ranni na froncie wschodnim. Mama miała kontakty ze środowiskiem artystycznym, więc tym oficerom organizowała koncerty. Do Łąncuchowa ściągali znanych śpiewaków operowych, między innymi z gliwickiej opery. Pamiętam, że przyjechał znany europejski tenor, o czym wszyscy tam rozmawiali, ale nazwiska nie pamiętam. Ściągała pianistkę Dworakowską.

Kiedy zbliżał się front wschodni, przenieśli się do Lublina, to był już 1944 rok. W pamięć wbiły się radzieckie krasnoarmijne bombowce nad miastem, a potem przemarsz radzieckich żołdatów i naszych żołnierzy, z I Armii Wojska Polskiego.

– Zamieszkaliśmy przy głównej ulicy Lublina, w mieszkaniu brata naszego taty, też architektka – wspomina pan Tadeusz. – To był

lipiec, czas Manifestu Lipcowego, pamiętam te afisze na jednej z głównych ulic Lublina. Mama zapisała nas do szkoły, chodziliśmy do niej do wiosny 1945 roku.

Potem była jeszcze szkoła kilkanaście kilometrów od Poznania.

– Bo mama chciała jak najbardziej na zachód, tak, żeby zaraz po wojnie wrócić do naszego domu w Gdyni – tłumaczy. A może chciała, żeby mąż wracający z obozu miał do nich bliżej, żeby jak najszybciej znów byli rodziną, taką samą, zanim wybuchła wojna?

Już nie byli tą rodziną

Jeszcze w 1945 roku do Jadwigi Witkowskiej docierały wiadomości od męża z obozu.

– Mama długo robiła starania, żeby dostać się do Gdyni, ale nie wiedziała jeszcze, że ojciec nie żyje – mówi pan Tadeusz.

Dowiedziała się w 1946 roku, z Kuriera Polskiego.

– W gazecie był wywiad z inżynierem Nowickim z Zakładów Cegielskiego w Poznaniu, który przeszedł ten sam obóz, w którym był tato – kontynuuje. – Wymienił nazwisko Ludwika Witkowskiego wśród tych, którzy zginęli na pewno podczas likwidacji obozów w Oranienburgu i Neuengamme. To była straszna likwidacja...

W maju 1945 roku kilka tysięcy więźniów ginie w zatoce Lubeckiej, celowo umieszczonych na jednostkach niemieckiej marynarki wojennej, żeby alianci je zbombardowali.

– Okręty były zakotwiczone kilka kilometrów od brzegu, a ci, którzy próbowali się ratować i dopłynąć na drzewach, tratwach, to ginęli na brzegu – opowiada pan Tadeusz.

Na plaży czekali już na nich niemieccy żołnierze z wymierzonymi lufami karabinów maszynowych. Uratowało się niewielu, między innymi inżynier Nowicki.

– Mama jeszcze dla pewności zwróciła się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, po angielsku, bo znała języki,

a oni potwierdzili, że tato nie żyje – mówi pan Tadeusz.

W 1947 roku osiedlili się w okolicy Kwidzyna.

– A to już dobrze pamiętam, była rzeczka, zakole, jeziora morenowe, typowe dla zachodnich Mazur – wspomina. – Tam mama pracowała w młynie, żeby nas wyżywić, ale wciąż próbowała dostać się do Gdyni.

Po wojnie miało być sprawiedliwie

Tęsknili za tym swoim domem w Gdyni, tym szczęściem i rodziną. W 1947 roku pojechali do dziadka, który był zawiadowcą stacji w Gdyni Orłowie.

– Pierwszy raz po wojnie zobaczyliśmy nasz dom na Orłowie, przy Klonowej 3, ale patrzyliśmy tylko z ulicy – mówi pan Tadeusz. – Zamieszkały w nim dwie rodziny, o których wiedzieliśmy tyle, że są funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa. Mama dostała powiastkę, że ma nie zbliżać się do Gdyni na odległość 30 kilometrów.

Tak zostali pozbawieni domu. Tyle znaczyła własność w tamtych latach, po inżynierze architekcie, który wspaniał się budową portu w Gdyni i zginął w obozie. Ale ubeków zupełnie to nie obchodziło.

Mama pana Tadeusza znalazła pracę w Państwowych Nieruchomościach Ziemskich, takim zaczynie późniejszych PGR, pod Pruszczem Gdańskim.

– A to było tylko 32 kilometry do Gdyni – dodaje Tadeusz Witkowski. – Do szkoły chodziliśmy z bratem do Gdańska, bo tam było kilkanaście kilometrów. Potem mama jeszcze pisała do władz, że chce przynajmniej pokój w swoim dawnym domu. Ale nie było o tym mowy.

W 1953 roku mamie pana Tadeusza kazano podpisać dokument, że nie będzie rościła pretensji wobec mienia, które zostało przejęte na potrzeby państwa.

Odszkodowanie dostała tylko za place, które Ludwik Witkowski kupił przed wojną

w centrum Gdyni. – Śmieszne pieniądze, za które mama kupiła bratu i mnie po zegarku – wspomina.

Do Moskwy jechać nie chciał

Zanim ostatecznie trafili do Opola, po drodze zamieszkali jeszcze pod Gubinem.

– W Opolu mama dostała dobrą pracę w RSW Prasa i mieszkanie na Pasiece, ale potem trafiła do pracy w budownictwie, bo na tym najlepiej się znała – mówi.

W Polsce były 34 licea TPD, do których trafiali najlepsi po podstawówce. Do takiego też trafił pan Tadeusz.

– Nie wiedziałem, że zostaliśmy narybkiem, żeby trafić później na studia do Moskwy – opowiada. – W tych szkołach komuniści próbowali wykuwać swoją kadrę.

Kiedy zdał maturę, przed 17-letnim Tadeuszem stanął w skórzanym płaszczu ubek, który rekrutował najlepszych na uczelnie radzieckie.

– Paru moich kolegów zmusili, żeby pojechali na studia do Moskwy – kontynuuje. – Wzywali mamę, mieli pretensje, że ja nie chcę, się buntuję, ale jako jeden z nielicznych ocalałem.

W 1956 roku niektórzy z jego kolegów wrócili do Polski.

– Z tymi, którzy zostali w ZSRR, nie wiem, co się stało, bo straciłem z nimi kontakt – opowiada. – Ci, którzy wrócili ze Związku Radzieckiego, opowiadali, że pierwsze dwa lata studiów, niezależnie od kierunku, czy to na biologii, chemii, czy fizyce, mieli tłuczone tylko marksizm i leninizm.

Pan Tadeusz został w Opolu do dzisiaj. A utracony dom w Gdyni?

– Pogodziliśmy się tym, nawet, z tego powodu nie czuję złości, bo to niczego nie zmienia – odpowiada. – Życie płynie i często nie mamy wpływu, na to, co się wydarzy. Ale wiem, co czują uciekający Ukraińcy, te kobiety z małymi dziećmi. One być może też nie zobaczą już swoich domów...

Gmina Pokój realizuje projekt dofinansowany ze środków WFOŚiGW w Opolu:



"Czysta Dolina Stobrawy"



W RAMACH REALIZACJI ZADANIA
ZAPLANOWANO KAMPANIĘ INFORMACYJNĄ
I EDUKACYJNĄ

JUŻ WKRÓTCE M.IN.:

W PRZESTRZENI
PUBLICZNEJ POJAWIĄ SIĘ
KOSZE DO SEGREGACJI
ODPADÓW
Z OPISANYMI ZASADAMI
SEGREGACJI

SPRZĄTANIE
ŚWIATA - GRUPY
BIORĄCE UDZIAŁ
W AKCJI OTRZYMAJĄ
GADŻETY



LEKCE EDUKACYJNE DLA
DZIECI Z WYKORZYSTANIEM
PODŁOGI INTEAKTYWNEJ

KONKURS!

"DRUGIE ŻYCIE ŚMIECI"

WEŹ UDZIAŁ,
WYGRAJ NAGRODĘ!

WW.GMINAPOKOJ.PL



W dobrzeńskim ośrodku kultury zadebiutował duży babski comber



Dobrzeński comber był świetną okazją do integrowania lokalnej społeczności. Gościły też panie spoza gminy, powiatu, a nawet województwa.

Zdjęcia: Tomasz Chabior

ROZRYWKA

Prawie 200 kobiet z całej Polski bawiło się podczas I Wojewódzkiego Babskiego Combra w Dobrzenu Wielkim. Do Gminnego Ośrodka Kultury 26 lutego przyjechały panie między innymi z Dobrzenu, Chróścic, Opola, Chorzowa czy nawet Gniezna.

TOMASZ CHABIOR

Gościmy panie nie tylko z naszych najbliższych okolic, ale także z Brzegu, Nysy, Szczecina czy Gniezna. Chcemy się świetnie bawić i dobrze zakończyć karnawał – podkreślała Anna Stawiarska z Gminnego Ośrodka Kultury w Dobrzenu Wielkim, który był organizatorem imprezy. – Panowie wstępu niestety nie mają, a jeśli już się pojawili, to naprawdę dobrze zakamuflowani. Między kobietami przebywa chociaż-

by przebrany za jedną z nich dyrektor naszego ośrodka kultury.

Oczywiście warunkiem uczestnictwa było spełnienie wymogów sanitarnych. Comber wystartował po godz. 19.00. Rozpoczął się od powitania uczestniczek przez Aleksandrę z zespołu Bis, toasty i pierwszego bloku tanecznego. Następnie kobiety zjadły kolację, po której wróciły na parkiet, gdzie bawiły się do późnej nocy.

– Przyszłam tutaj z przyjaciółką i koleżankami, jest znakomicie. To mój pierwszy babski comber, a skoro to dla mnie nowość, to nie wiedziałam, czego się spodziewać. Wiedziałam tylko, że będą tu same kobiety – śmiała się Paulina Bleszyńska z Chorzowa. – Przywykłam do imprez prowadzonych przez DJ-a, dlatego nie spodziewałam się, że zabawa z zespołem muzycznym będzie taka dobra. Poza tym atmosfera jest bardzo na

plus, podobnie jak wystrój ośrodka, jest ładnie i sympatycznie.

Zabawę przeplatały konkursy i losowanie nagród. Oprócz tego do dyspozycji uczestniczek przez cały czas trwania imprezy pozostawała fotobudka, w której chętne osoby mogły wykonać pamiątkowe zdjęcia. Organizatorzy zadbali też o słodki poczęstunek.

– Moja koleżanka każdego roku organizuje wyjście z pracy, podczas którego wspólnie idziemy na imprezę. Uczestniczę w nim już drugi raz i po raz drugi jest to wyjście na babski comber. Wcześniej na podobnej zabawie byliśmy w domu kultury w Popielowie – mówiła Adriana Rasztar z Opola. – Mamy dosyć duże grono, które cały czas się powiększa, świetnie się w nim bawimy. My, kobiety, mamy własny język i czasami rozumiemy się bez słów. Nie wiem, czy mężczyźni odnaleźliby się na takiej imprezie. Mają inny, własny sposób bycia.

Babski comber to czas, w którym kobiety mogą być w stu procentach sobą i nie powinny się krępować. Mężczyźni, poza nielicznymi wyjątkami, mają na tę imprezę kategorię zakaz wstępu. Panie spędzają ten czas we własnym gronie i są przy tym bardzo kreatywne.

Przygotowują na tę okazję często dobrze przemyślane stroje, tak było i tym razem. Pszczółki, diablice, kowbojki, wiedźmy, malarki, pielęgniarce czy sportsmenki to tylko niektóre postaci, które można było zobaczyć podczas dobreńskiego combra.

Tego typu impreza odbyła się w Gminnym Ośrodku Kultury w Dobrzenu Wielkim po raz pierwszy i prawdopodobnie nie ostatni. Był to ostatni okoliczny babski comber przed wielkim postem. Poprzednie odbyły się między innymi w Samorządowym Centrum Kultury Turystyki i Rekreacji w Popielowie (5 lutego) oraz w sali wiejskiej w Kup (19 lutego).



Podczas combra bawiło się blisko 200 pań z całej Polski.

MATERIAŁ SPONSOROWANY

KOBIETY POKOJU. BARBARA ZAJĄC:

KOBIETY SĄ UPARTE I SIĘ NIE PODDAJĄ

PRZEDSTAWIAMY NOWY CYKL WYWIADÓW „KOBIETY POKOJU” TO HISTORIE NIESAMOWITYCH KOBIET, KTÓRE OBEJMUJĄ STANOWISKA LIDEREK W SAMORZĄDZIE GMINY POKÓJ, A JEDNOCZEŚNIE ŁĄCZĄ TO Z ŻYCIEM RODZINNYM I NIERAZ ZAWODOWYM. CYKL ROZPOCZYNAJEMY OD ROZMOWY Z BARBARĄ ZAJĄC, KTÓRA OD PONAD 15 LAT PIASTUJE STANOWISKO WÓJTA GMINY.



Od jak dawna pracuje Pani w Urzędzie?

– Od czasu matury, nie licząc oczywiście urlopów macierzyńskich mojej życie jest ściśle związane z samorządem. W Urzędzie Gminy w Pokoju zaczęłam pracę jako Inspektor ds. obsługi Rady Gminy. Po pięciu latach przerwy, podczas których powiększała się moja rodzina, wróciłam do pracy, tym razem w Wydziale Komunikacji.

Kiedyś urlop macierzyński trwał zaledwie cztery miesiące, po tym czasie wracałam do pracy, to były naprawdę trudne chwile. Wiedziałam, że muszę wrócić nakarmić dziecko, przygotować pewne rzeczy na następny dzień no i oczywiście, jak każda mama, tęskniłam. Na szczęście bardzo pomagała mi moja mama, która nie raz opiekowała się dziećmi, gdy ja musiałam pójść do pracy. Kiedy starsze dzieci już podrosły, a nawet całkiem dorosły, przejęły część obowiązków jak np. spacerki.

Kiedy w roku 2005 zostałam zmuszona do odejścia z pracy w Urzędzie Gminy w Pokoju rozpoczęłam pracę w Urzędzie Miasta w Namysłowie, gdzie rejestrowałam nowonarodzone dzieci, a tym samym skompletowałam swoje doświadczenie o pracę w absolutnie każdym możliwym referacie urzędu gminy / miasta.

Na tamten moment jedyne stanowisko, którego jeszcze nie zdarzyło mi się objąć to rola wójta gminy (śmiech).

Od ponad 15 lat mamy zatem komplet. Jak to się stało?

– Na to nie trzeba było długo czekać, gdyż w 2006 roku – zostałam namówiona

na powrót do Pokoju oraz start w wyborach na wójta gminy. To za sprawą Stowarzyszenia Pokój, podjęłam się kandydowania, ale jak już wtedy podkreślałam – zgodzę się, ale pod warunkiem, że mi w tym pomożecie, będziecie mnie wspierać. Wsparcie takie otrzymałam. Już wtedy wiedziałam, że bez młodych, energicznych i zaangażowanych współpracowników sobie nie poradzę.

Stanowisko wójta gminy to poważna sprawa, jak zareagowała na to Pani rodzina?

– Oczywiście przed startem w wyborach musiałam skonsultować decyzję z moją rodziną, najmłodszy syn miał wtedy zaledwie 3 latka – co wiązało się z ogromem obowiązków rodzicielskich. Chciałam, aby moja rodzina była świadoma z czym wiąże się moja ewentualna wygrana w wyborach oraz jak wiele obowiązków będą musieli wziąć na siebie moi bliscy, zaczynając chociażby od utrzymania porządku w domu.

W tamtym czasie starałam się ograniczyć do maksimum wszelkie wyjazdy oraz w miarę możliwości zadbać o wolne weekendy, które spędzałam z rodziną. Jednak nie zawsze było to możliwe. Konferencje, wyjazdy, delegacje – moja rodzina miała świadomość, że może mnie nie być nawet przez kilka dni. Oczywiście starali się to zrozumieć, ale zdarzało mi się usłyszeć „znowu Cię nie będzie”, „musisz jechać?”, z czasem stała się to kwestia przyzwyczajenia, choć bywały trudne momenty.

Na szczęście wszystko udało się pogodzić, obecnie jestem mamą pięciorga dzieci, z których większość skończyła już studia, założyła swoje rodziny. Jeden z synów mieszka we Wrocławiu, dwie córki w Pokoju, trzecia w Namysłowie, a najmłodszy syn, który chodzi do technikum w Dobrzenu Małym, mieszka jeszcze z nami. Mam również sześcioro wnucząt, z których najstarszy ma 16 lat a najmłodszy ma 4 latka.

Coraz więcej kobiet obejmuje stanowiska samorządowe, dlaczego?

Myślę, że kobiety inaczej czują te role, jesteśmy uparte, jeśli coś zaplanujemy to dążymy do celu i nie poddajemy się. Wydaje mi się, że obejmując stanowisko wójta, pozwoliłam kobietom uwierzyć w siebie. Panie ob-

jęły role sołtysów, prezesów stowarzyszeń, a nawet prezesów jednostek straży pożarnych – co kiedyś było nie do pomyślenia.

Sądzę, że kobiety wprowadzają do polityki (lokalnej, bo mowa o naszej gminie) swego rodzaju spokój, ciepło, pozytywne wibracje, wrażliwość, ale także dbają o równouprawnienie. Wiem na swoim przykładzie, że postrzegamy pewne rzeczy z zupełnie innej perspektywy.

Jaka jest zatem kobieca perspektywa?

Odwaga rozumiana jako umiejętność podejmowania decyzji i ryzyka w różnych momentach, potrafię wyznaczać wizję i cele, wiem dokąd zmierzam i czego chcę. Potrafię współpracować, mam zespół, który jest zaangażowany i dobrze ze sobą współpracuje.

Stanowisko wójta, duża rodzina, skąd czerpie Pani energię do działania?

Oczywiście czasem bywam zmęczona, ale wystarczy jakaś dobra informacja np. o przyznaniu środków w konkretnym projekcie i od razu czuję wiatr w żaglach. To jak samonapędzająca się maszyna. No i oczywiście ludzie, ich zaangażowanie, wsparcie i pomoc – w takich chwilach wiem dlaczego i przede wszystkim dla kogo podejmuję te wszystkie wysiłki. Mam również ogromne wsparcie w rodzinie, zarówno mentalne jak np. słowa „mamo jestem dumny z tego jak to wszystko się tutaj zmienia”, jak i praktyczne „mamo, nie ma problemu zawiozę Cię gdzie tylko potrzebujesz”.

Wszystko można zorganizować. Co chciałaby Pani przekazać kobietom, które blokuje strach przed próbą pogodzenia tych dwóch światów?

Moje kochane dziewczyny, nie ma się czego bać. Sprzątanie poczeka, jeśli nie dzisiaj, to zrobicie to jutro, kiedyś też taka byłam, przekładałam obowiązki domowe nad siebie. Nauczyłam się innego podejścia od moich koleżanek, które zostawiały cały ten domowy sajgon i znajdowały czas dla siebie i realizowanie swoich marzeń. Jeśli czujecie, że dacie radę w działalności społecznej to próbujcie i nie dajcie się nikomu zniechęcić. Myślę, że moją następczynią również będzie kobieta, trzeba realizować swoje marzenia. Nie bójcie się, na moim przykładzie widać, że się da.

PRZECZYTAJ CAŁĄ
ROZMOWĘ, ZESKANUJ
KOD QR.



Naszych absolwentów nie dotyczy problem bezrobocia. Drzwi otwarte w WZDZ



Niemal 250 przyszłych absolwentów opolskich podstawówek wzięło udział w warsztatach orientacji zawodowej w WZDZ.

Fot. Anna Plewa

EDUKACJA

Już po raz trzeci przyszli absolwenci opolskich szkół podstawowych odwiedzili Wojewódzki Zakład Doskonalenia Zawodowego w Opolu. Podczas dwudniowych warsztatów orientacji zawodowej mieli okazję przekonać się, jak wielkim atutem w niepewnych czasach jest konkretny fach w rękę.

ANNA PLEWA

Staramy się zdiagnozować potrzeby lokalnego rynku pracy i urucha-

miać te kierunki kształcenia zawodowego, które w przyszłości będą odpowiedzią na potrzeby rynku – wyjaśnia Leszek Adam Zajac, dyrektor Szkoły Wojewódzkiego Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Opolu. – Dzięki temu nasi absolwenci nie będą klientami powiatowych urzędów pracy, lecz po zakończeniu szkoły zasila kadry pracowników najlepszych przedsiębiorstw.

Podczas dwudniowych warsztatów w WZDZ około 250 opolskich ośmioklasistów uczestniczyło w praktycznych zajęciach edukacyjnych przybliżających takie zawody, jak: mechanik pojazdów samo-

chodowych, kierowca, fryzjer, kucharz, technik żywienia, monter zabudowy i robót wykończeniowych, technik informatyk, sprzedawca i logistyk.

– Szukamy talentów zawodowych. Chcemy nakłonić młodzież do kształcenia zawodowego, ponieważ wiemy, że na rynku jest potężny deficyt fachowców, i może nadejść moment, kiedy dotkliwie odczujemy ich brak. Chodzi nam o to, żeby w przyszłości praca dawała naszym absolwentom satysfakcję, także finansową. W związku z czym na warsztatach prezentujemy zawody, które są dobrze płatne – tłumaczy Zygmunt Budziński,

pomysłodawca i koordynator warsztatów, i dodaje:

– Pod okiem naszych instruktorów, nauczycieli zawodu młodzież uczyła się konkretnych umiejętności. W pracowni budowlanej m.in. tapetowali, malowali, układali panele, cięli i kleili kafelki czy też podłączyli elementy klimatyzacji. W pracowni informatycznej pracowali nad kablem RJ45. Prowadzimy też salon fryzjerski, który jest otwarty dla ludzi z zewnątrz, więc umiejętności są od razu weryfikowane przez klientów. W pracowni handlowo-logistycznej uczyli się z kolei podstaw obsługi kasy fiskalnej. Odwiedzili też



pracownię gastronomiczną czy warsztat samochodowy.

Od ponad 70 lat dewizą WZDZ są trzy słowa: uczy, kształci, doskonali

– W Polsce pokutuje mit, że po podstawówce najlepiej pójść do liceum. Owszem, jeżeli ktoś wie, że chce pójść na studia i ma wytyczoną ścieżkę kariery edukacyjnej i zawodowej. Tymczasem kształcenie zawodowe pozwala na szybkie usa-

modzielnienie się, na niezależność finansową, a jednocześnie nie przekreśla możliwości studiowania. Absolwenci szkół podstawowych stoją przed decyzją, która będzie skutkować na całe ich życie. Przez 40 lat aktywności zawodowej i w czasie emerytury, która będzie decydować o ich statusie majątkowym i społecznym – przekonuje Leszek Adam Zając.

– Kształcenie praktyczne należy w sposób nieroz-

rwalny połączyć z kształceniem w rzeczywistych warunkach środowiska pracy. Nasi uczniowie zapoznają się z teorią zawodową, a doświadczenie zdobywają w zakładach pracy. Aktualnie współpracujemy z około 40 przedsiębiorstwami. Kształcimy w prawie stu zawodach, przygotowujemy również w zakresie teoretycznych przedmiotów zawodowych. Nasze pracow-

nie są akredytowane przez Okręgową Komisję Egzaminacyjną do przeprowadzenia zewnętrznych egzaminów potwierdzających kwalifikacje. W naszych szkołach oferujemy też dodatkowe kursy poszerzające kompetencje. Jako jedyna szkoła w mieście dysponujemy drukarkami 3D. Naszych absolwentów problem bezrobocia po zakończeniu szkoły nie dotyczy – podsumowuje.

REKLAMA

Niezawodny partner

PRZEDSIĘBIORSTWO INŻYNIERII KOMUNALNEJ

ECOKOM

Rok założenia: 1989r. Sp. z o. o.

Nasze usługi kształtują się w zakresie robót inżynierskich budowy infrastruktury technicznej:

wodociągi i kanalizacja

oczyszczalnie ścieków

ujęcia wody

uzbrojenia terenu

ochrona środowiska

P.I.K. "ECOKOM" Sp. z o. o.
46-022 Luboszyce, ul. Opolska 21

tel. 602 360 980

tel./fax 77 421 57 08

ecokom.opole.pl

ecokom-luboszyce@wp.pl

MATERIAŁ INFORMACYJNY - GMINA DOBRZEŃ WIELKI

NIE PUŚCIE SŁOWA WSPARCIA, TYLKO ODWAŻNE CZYNY! DOBRZEŃSKA DELEGACJA POJECHAŁA NA UKRAINĘ

DOBRZEŃ WIELKI

Z PIOTREM SZLAPĄ, WÓJTEM GMINY DOBRZEŃ WIELKI, O RYZYKOWNEJ WIZYJCIE NA UKRAINIE, WSPÓŁPRACY Z TAMTEJSZĄ GMINĄ STRILKY I LICZNYCH AKCJACH POMOCOWYCH, W KTÓRE MOGĄ ANGAŻOWAĆ SIĘ MIESZKAŃCY GMINY DOBRZEŃ WIELKI, ROZMAWIA TOMASZ CHABIOR.

Wyjazd na Ukrainę był dużym ryzykiem. Dlaczego gminna delegacja nie została darów na granicy?

Mieszkańcy zebrali mnóstwo cennych rzeczy, dlatego nie chciałem zostawiać ich nie wiadomo komu, a to zrobiłbym, zostawiając je na granicy. Szukaliśmy więc chętnych, którzy podjęliby się tego wyzwania, ale nikt się nie zgłosił. Wziąłem więc sprawę w swoje ręce i razem z dwiema innymi osobami pojechaliliśmy do gminy Strilky. Ważne było, żeby to, co zebraliśmy, zawieźć bezpośrednio do osób, które o to poprosiły.

Odważnie...

Odważa może tak, szaleństwo już nie. Zanim zapadła decyzja by jechać, zrobiliśmy odpowiednie rozeznanie, co dzieje się w tamtych rejonach. Gmina Strilky leży blisko granicy, w Bieszczadach i nie toczą się tam żadne walki. Trasę zaplanowaliśmy natomiast tak, żeby w każdym momencie móc się ewakuować.

Jak wyglądała logistyka wyjazdu?

W gminie załadowaliśmy zebrane rzeczy do dużego transportowego busa, którego razem z paliwem zapewnili nam lokalni sponsorzy. Pomogły też: Stowarzyszenie „Borki – aktywni razem”, Stobrawskie Centrum Medyczne w Kup, spółka Prowod i Ochotnicze Straże Pożarne.

Następnie, razem z moim synem i z mieszkanką Dobrzeń Wielkiego, panią Jolantą Medyńską-Bik, wyruszyliśmy w drogę. Ja prowadziłem, syn nawigował, a pani Jolanta pomogła nam w formalnościach przy przekraczaniu granicy. Bez niej i bez wsparcia innych osób dobrej woli nasza akcja nie byłaby możliwa.

Podobno pomoc napływa z wielu stron.

Po drodze mijaliśmy wozy wiozące pomoc z Czech, Niemiec, Włoch, Austrii i oczywiście Polski. Na jednej ze stacji benzynowych zauważyliśmy też rejestrację OPO, okazało się, że to ekipa z Chrzastowic, która prowadzi stały dyżur na granicy i pomaga tam tak, jak może. Niektórzy członkowie podobnych transportów pytali nas, gdzie zostawiamy dary, bo sami nie wiedzieli, gdzie dokładnie mają zostawić swoje. Mówiliśmy, że wieziemy je bezpośrednio na Ukrainę, bez zbędnych przeładunków. Byliśmy prawdopodobnie jedynymi z nielicznych, którzy się na to odważyli.

Co działo się już po ukraińskiej stronie?

Wracamy tu do logistyki. Tuż za przejściem granicznym czekał na nas wójt gminy Strilky, który najpierw przeprowadził nas przez ostatni posterunek graniczny, a następnie przez posterunki porządkowe. W samych Strilkach czekało na



Delegacje z obu gmin po rozładowaniu busa.

nas dziesięć osób, z którymi wyładowaliśmy dary z samochodu. Po wszystkim była okazja do rozmowy, zjedliśmy też wspólny obiad. Na polską stronę wróciliśmy natomiast około godz. 20.00, a przed godz. 1.00 byliśmy już w Dobrzeń Wielkim.

Współpraca z gminą Strilky planowana była od lat. Dlaczego długo nie dochodziła do skutku?

Dlatego, że takie plany pojawiły się tuż przed pandemią. Mieliśmy wtedy dopracować formę współpracy, zostać takimi partnerami, jakimi jesteśmy z gminą Heuchelheim [Niemcy – przyp. red.] i miastem Wil [Szwajcaria – przyp. red.]. Wzajemne wsparcie miało być nastawione głównie na oświatę, w tym wymiany młodzieży. Przez pandemię musieliśmy się wstrzymać, ale potem temat wrócił.

Wrócił, ale Rosja rozpoczęła inwazję na Ukrainę...

Umówiliśmy na 3 marca, ale nie wiedzieliśmy, co się święci. Nie spodziewaliśmy się takiego biegu wydarzeń. Wojna na Ukrainie już trwała, ale 24 lutego doszło do jej eskalacji i plany współpracy leżały w gruzach. Trzeba jednak

pamiętać, że wsparcie, które przekazujemy gminie Strilky, to również współpraca. Robimy, co w naszej mocy i jak widać – to nie tylko słowa, ale też czyny.

Co dokładnie otrzymali mieszkańcy tamtejszej gminy?

Poprosili o najpilniejsze rzeczy, czyli środki opatrunkowe, lekarstwa, pościel, koce, śpiwory, karimaty, latarki, lornetki i wiele innych. Wszystko to im zawieźliśmy. OSP Chróścice podarowała też agregat prądotwórczy, podobnie jak spółka Prowod. Jeden z nich trafił do lokalnego szpitala, który co chwilę boryka się z przerwami w dostawie prądu.

Wspomniał wójt, że rozmawiał z władzami tamtejszego samorządu?

Poruszyliśmy wiele tematów, oczywiście wiodącym była wojna. Szczególną uwagę poświęciliśmy dyskusjom o przyszłości gminy Strilky i całej Ukrainy. Rozmawialiśmy także o współpracy naszych gmin, szczególnie w kontekście ostatnich wydarzeń. Oczywiście nastroje tamtejszych władz oraz mieszkańców gminy są ponure. Nie muszę chyba mówić, że wójt bardzo przejął

MATERIAŁ INFORMACYJNY - GMINA DOBRZEŃ WIELKI

się obecną sytuacją. W dodatku liczba mieszkańców Strilek zwiększyła się o kilka tysięcy, ponieważ przyjechało do nich mnóstwo osób z wschodu Ukrainy.

Jak wygląda wsparcie już na terenie gminy Dobrzeń Wielki?

Jest bardzo duże, ale pytanie, ile ono wytrzyma? Do gminy trafiły w większości osoby, które mają tutaj rodziny lub znajomych. Obecnie zarejestrowanych jest ich 120, z czego 70 osób to dzieci. Część z nich trafiła już do szkół podstawowych i średnich. Powstają też punkty, do których Ukraińcy mogą się zgłaszać, aby informować nas o swoich potrzebach. Pomagają też ich rodacy, którzy od jakiegoś czasu mieszkają w gminie i mogą nas wspierać w komunikacji z przybyłymi. Odzew gminnej społeczności jest duży. Bardzo

dziękujemy wszystkim, którzy przyjęli potrzebujących do swoich domów oraz tym, którzy pomagają w inny sposób.

Gdzie powinien udać się mieszkaniec gminy, który chce skutecznie pomóc Ukrainie?

Do urzędu gminy, Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej lub do Gminnego Ośrodka Kultury. Wszystkie te instytucje są bankami informacji. W całej gminie, między innymi w remizach, salach wiejskich i domu kultury, odbywają się też zbiórki. Warto jednak na bieżąco śledzić, czego dokładnie potrzebują Ukraińcy i nie przynosić zbędnych rzeczy.

Ukraińcy zaznają w gminie dobrzeńskiej gościnności?

Oczywiście, że tak. Tutaj jeden drugiego umie szanować i wszyscy jesteście razem. Pokazała to chociażby obrona gminy w latach 2015-



Do ukraińskiej gminy Strilky trafiły między innymi: środki opatrunkowe, lekarstwa, pościel, koce, śpiwory, karimaty, latarki i lornetki.
Fot. Gmina Dobrzeń Wielki

2017. Wśród nas są Ślązacy, Polacy i Niemcy, wszyscy dobrze się dogadujemy. Od jakiegoś czasu dołączają do nas również Ukraińcy, których będzie coraz więcej. Mówiłem, że zarejestrowanych jest 120, ale statystyki i realia to dwie różne rzeczy. Podejrzewam, że Ukraińcy to obecnie jakieś 4-8% mieszkańców gminy. Jesteśmy ot-

warci na różnorodność kulturową i każdy zostanie tutaj dobrze przyjęty. Musi jednak być świadomy, że jeśli nie będzie możliwości zakwaterowania go w domu, zostanie zakwaterowany chociażby w sali wiejskiej. Staramy się, jak możemy, ale nasze możliwości są ograniczone.

Dziękuję za rozmowę.

„Kobiety o kobietach i dla kobiet”. Dobrzeńskie artystki wystąpiły w domu kultury

KULTURA

Gabriela Kollmann i Ewa Gacka – czerpiąc z teatru, poezji i muzyki – stworzyły w Gminnym Ośrodku Kultury w Dobrzeń Wielkim koncert z okazji zbliżającego się Dnia Kobiet. Ich występy można było obejrzeć w sobotni (5 marca) wieczór w sali balowej ośrodka.

Być kobietą Alicji Majewskiej, Winda do nieba zespołu Dwa Plus Jeden i Champs Elysees Joego Dassiną to tylko niektóre utwory, których można było posłuchać podczas ponadgodzinnego występu Gabrieli Kollmann i Ewy Gackiej.

Panie przeplatały śpiewanie wstawkami teatralnymi, któ-



Artystki wystąpiły w sali balowej ośrodka. Oglądało je około 50 osób.
Fot. Tomasz Chabior

rych motywem przewodnim była szeroko pojęta kobiecość. Widzowie usłyszeli też kilka trafnych cytatów autorstwa takich pań, jak chociażby: Martyna Wojciechowska, Danuta Stenka, Coco Chanel, Michelle Obama i Oprah Winfrey.

– Kobiety mądre, kobiety odważne, kobiety sławne. O nich właśnie był nasz dzisiejszy repertuar. Kobiety przygotowały dla kobiet coś

o kobietach. Oczywiście panowie też mogli przyjść i kilku pojawiło się na widowni – mówiła Gabriela Kollmann. – Skąd pomysł? Taki występ zaproponował nam dyrektor ośrodka kultury, pan Piotr Szafranski. Wspólnie z Ewą Gacką często występujemy jako duet, dlatego przygotowaliśmy kolejny repertuar, tym razem z okazji Dnia Kobiet.

Występ tego duetu uświetnił gość specjalny, jakim była Jadwiga Wrońska. Wśród miejscowych kobiet, szczególnie tych działających w Kole Gospodyń Wiejskich „Dobrzeńki”, nazywana jest superbabką. Na swój autorytet zasłużyła latami współtworzenia lokalnej kultury, ze szczególnym zamiłowaniem do teatru, poezji i kroszonkarstwa. Podczas sobotniego występu wyrecytowała wiersz.

Na koniec wspomnijmy jeszcze, że na sobotni koncert przyszło około 50 osób, głównie z gminy Dobrzeń Wielki. Imprezę zorganizował Gminny Ośrodek Kultury w Dobrzeń Wielkim, który był też jej gospodarzem. Gabriela Kollmann i Ewa Gacka należą na co dzień do KGW „Dobrzeńki”, podobnie Jadwiga Wrońska.

TCH

Prastare opowieści – historia biblijna na deskach Opolskiego Teatru Lalki i Aktora



Prastare opowieści są historią opartą na Starym Testamencie.

Fot. Grzegorz Gajos

KULTURA I SZTUKA

Prastare opowieści są historią opartą na Starym Testamencie, opowiedzianą za pomocą języka teatru: słowa, gestu, obrazu oraz animacji. Reinterpretacja biblijnych opowieści o początku adresowana jest do dzieci. To pierwsza tegoroczna premiera w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora.

ANNA PLEWA

Opowiedzenie dzieciom historii biblijnej jest trudne – przyznaje Honorata Mierzejewska-Mikosza, reżyserka spektaklu Prastare opowieści. – Na szczęście teatr oferuje szeroką gamę środków wyrazu,

które pomogą najmłodszym widzom udźwignąć ciężar gatunkowy tych historii. Staraliśmy się opowiedzieć je jak najprościej, żeby nie przytłoczyły odbiorców, i, tam gdzie to możliwe, wpleść do fabuły humor. Operujemy bardzo prostymi środkami wyrazu, scenografia jest skrótowa,

a zarazem bardzo plastyczna. Myślę, że dziecięca wyobraźnia będzie pobudzona, mogąc sobie dopowiedzieć to, czego nie ma scenie.

Teatr formy i gestu

Plastyczną scenografię, której autorką jest Mária Bačová, zbudowano m.in. przy użyciu formitu. Obrazy i elementy animacji stworzono z kolei przy pomocy epidiaskopu. – Odkrywam wielkie możliwości sceniczne tego urządzenia. Zdecydowaliśmy się pokazać rysunki i slajdy, co też może być zaskakujące i inspirujące dla dzieci – opowiada reżyserka i dodaje:

– Forma spektaklu jest bardzo spójna. Obracamy się w jednej materii, chociaż kilkakrotnie próbujemy zaskoczyć widza. Na scenie zobaczymy świat wykreowany z papieru – papierowych lalek animowanych przez aktorów – oraz teatru gestu. Równie ważna jest muzyka. Każda nuta ma w tym spektaklu kolosalne znaczenie. Piotr Nazaruk (autor muzyki – przyp. red.) maluje nastroje i pięknie uzupełnia prostą scenografię.

Prace nad spektaklem trwały kilka miesięcy

– Za nami kilka miesięcy przemyśleń i pracy nad przedstawieniem oraz ponad miesiąc bardzo intensywnych prób w niełatwych okolicznościach pandemicznych – tłumaczy Honorata Mierzejewska-Mikosza. – Praca z opolskimi aktorami była moim marzeniem. Prastare opowieści to jest wielka rola zespołowa. Aktorzy musieli się zgrać i od początku tworzyć wspólną kreację, a potem rozdzielić ją na swoje solowe występy. To była bardzo wymagająca – również fizycznie – praca.

W przedstawieniu występują: Anna Jarota, Barbara Łach, Andrzej Mikosza, Tomasz Szczygielski i Krzysztof Jarota

– Spektakl jest szalenie trudny technicznie, cała partytura ruchowa jest bardzo wymagająca – przyznaje Krzysztof Jarota. – Wymagający jest też język migowy, którego używamy w trakcie przedstawienia. Wszystko oparte jest na gestach, znakach, operowaniu obrazem. Jednocześnie trzeba pilnować, by



nie utracić myśli, która jest tutaj najważniejsza.

Aktorzy tworzą spektakl także od strony scenograficznej, zmieniając elementy scenografii czy slajdy w epidiaskopie.

– Przyznam szczerze, że na początku było ciężko – mówi Andrzej Mikosza. – Każdy ma

tutaj coś do stworzenia, jakieś zadanie przy tym wspólnym odtwarzaniu prapoczątku.

– Jesteśmy i tworzymy, i twórcami – dodaje Tomasz Szczygielski. – Stwarzamy to wszystko, przeplatamy się nawzajem, opowiadając ten piękny temat o nas, o ludziach, o początku i – co naj-

ważniejsze – o miłości danej nam przez Stwórcę i przekazywanej z pokolenia na pokolenie przez słowo i działanie.

Jak mówi Anna Jarota, każdy z aktorów przybliży opowieść ze Starego Testamentu. – Cieszę się, że możemy opowiadać historie biblijne i przybliżyć je młodemu

i starszemu widzowi. Uważam, że to cenne i rzadko współcześnie spotykane.

Gesty i słowo ważne są także w kontekście języka migowego, używanego w spektaklu przez aktorów. – Liczymy, że uda nam się zainteresować dzieci nauką języka migowego – tłumaczy Barbara Lach.

Autorem muzyki jest Piotr Nazaruk

– Jest tutaj kilka szerokich, orkiestrowych tematów – mówi kompozytor. – Jeden z nich przewija się przez cały spektakl jako refren oddzielający jedną scenę od kolejnej. Muzyka nie tylko buduje tu tło, klimat, ale też momentami podbija emocje. Jest napisana współcześnie, filmowo, a chwilami nawiązuje do muzyki bliskowschodniej. Od dawna nie pracowałem w teatrze, więc z wielką przyjemnością wróciłem do tego tematu.

Prastare opowieści to pierwsza tegoroczna premiera w OTLiA.

REKLAMA

30 lat doświadczenia



W ofercie:

- roboty ziemne
- roboty rozbiórkowe
- usługi transportowe
- usługi sprzętowe
- sprzedaż materiałów sypkich

Skontaktuj się z nami

Zakład Usług Transportowo - Sprzętowych RUDATOM
ul. Zawadzka 10, 46-020 Kępa
tel. 77 / 456 86 77, 602 574 783
e-mail: biuro@rudatom.eu

Dla zwierząt wojna też jest piekłem. Opolanie ratują psy i koty z Ukrainy



W schronisku w Dnieprze na ewakuację czeka ponad 800 zwierząt.

Fot. Transport i DT dla zwierząt Mariny Dniepr/FB

WOJNA W UKRAINIE

Zwierzęta są cichymi ofiarami każdej wojny. Wiedzą o tym opolanie, którzy aktywnie włączyli się w akcję ratowania zwierząt z ogarniętej wojną Ukrainy. Pomóc może każdy.

ANNA PLEWA

Na dzień dzisiejszy możemy przyjąć 200 psów i 200 kotów, mamy ogromne zaplecze w postaci domów tymczasowych – mówi Aleksandra Czechowska, liderka ds. zwierząt w Opolskim Centrum Wspierania Inicjatyw Pozarządowych i koordynatorka akcji. – Tworzymy też ogólnopolską bazę lekarzy weterynarii, którzy za darmo będą udzielać pomocy tym zwierzętom, które do nas tra-

fią, zorganizowaliśmy zbiórkę karmy.

Wszystko po to, żeby ludzie uchodzący przed koszmarem wojny nie porzucali swoich zwierząt, które także giną od ostrzału i bomb lub zostają na opuszczanych posesjach.

– Wiele osób nie chce wyjechać, bo nie chcą zostawić swojego zwierzęcia czy zwierząt na pewną śmierć. Dlatego apelujemy: udostępniajcie informacje o uproszczonych procedurach przewożenia zwierząt przez granicę – mówi Aleksandra Czechowska i dodaje:

– Chcemy dotrzeć z tym przekazem do ludzi wyjeżdżających z Ukrainy. Żeby zabrali ze sobą zwierzę, zwierzęta. Swoje lub te, które spotkają po drodze. A jeżeli uda się dotrzeć do schroniska i będzie jeszcze miejsce w samochodzie, to żeby zabrali stamtąd psa czy

kota. Tutaj znajdzie się dla nich dom i opieka. Pomożemy, odbierzemy, zapewnimy opiekę weterynaryjną, domy i jedzenie.

Na FB powstały też grupy „Pomoc dla zwierząt w Ukrainie” i „Transport i DT dla zwierząt Mariny Dniepr”.

Można tam zgłaszać chęć tymczasowego przygarnięcia psa lub kota albo zaoferować swój transport na granicę. Można też kontaktować się bezpośrednio z Aleksandrą Czechowską.

Pomoc dla schroniska w Dnieprze

– Czekamy, żeby mieć możliwość odebrania zwierząt od Mariny, która prowadzi przytulisko dla zwierząt w okolicy miasta Dniepr – opowiada koordynatorka akcji. – Ma tam pod swoją opieką 650 psów, 200 kotów i 3 osiołki. Schronisko jest

w szczerym polu, bez drogi dojazdowej, prąd z agregatu. Kuchnia polowa ogrzewa wodę, w wannach gotują ryż i mięso. A zwierząt przybywa jej coraz więcej, bo niektórzy ludzie, uciekając przed wojną, porzucili swoje psy. Marina została tam sama z jedną tylko wolontariuszką i opiekuje się tymi ponad 800 zwierzętami. Nie zostawiła ich.

– Organizujemy zbiórkę żywności, kontenerków, legowisk dla zwierząt, które trafiają z Ukrainy na Opolszczyznę i dla Mariny, – wyjaśnia Czechowska. – Jak tylko będzie możliwość dostarczenia Mariny karmy, od razu wyjedzie transport. Miejsce zbiórki żywności dla zwierząt to ul. Ozimska 42a w Opolu.

**Pomóc można, wpłacając pieniądze na konto:
83 1140 2004 0000 3802
8205 0906,
z dopiskiem Ukraina.**

Za przesłane środki zostaną zakupione leki, opatrunki, strzykawki, kroplówki itp. po ustaleniach z lekarzem weterynarii.

Główny Inspektor Weterynarii uprościł procedury związane z przewozem zwierząt z Ukrainy do Polski

W czasie trwania konfliktu militarnego tymczasowo zniesiono wymóg miareczkowania przeciwciał przeciw wściekliźnie. Minimalny wymóg, kiedy zwierzę może zostać wpuszczone na teren UE, to oznakowanie mikrochipem i dokument potwierdzający wykonanie szczepienia przeciw wściekliźnie nie wcześniej niż 12 miesięcy przed opuszczeniem granicy.

Ruszyła współpraca Uniwersytetu Opolskiego i szkoły w Chróścicach



Umowę podpisały prof. Anna Weissbrot-Koziarska, dziekan Wydziału Nauk Społecznych UO, oraz Renata Dąbrowska, dyrektorka PSP im. Marii Konopnickiej w Chróścicach. Fot. Tomasz Chabior

EDUKACJA

Publiczna Szkoła Podstawowa im. Marii Konopnickiej w Chróścicach i Wydział Nauk Społecznych Uniwersytetu Opolskiego rozpoczęły współpracę, której owocami mają być rozwój kompetencji społecznych uczniów oraz doskonalenie warsztatu nauczycieli.

TOMASZ CHABIOR

Umowę podpisano 17 lutego. Zainteresowane strony reprezentowały: prof. Anna Weissbrot-Koziarska, dziekan Wydziału Nauk Społecznych UO, oraz Renata Dąbrowska, dyrektorka PSP im. Marii Konopnickiej w Chróścicach. Współpraca będzie dotyczyć organizacji zajęć, warsztatów i szkoleń dla nauczycieli oraz uczniów szkoły w Chróścicach.

W inicjatywę zaangażowani będą nie tylko pracownicy Wydziału Nauk Społecznych UO, ale również

studenci. Chodzi między innymi o członków Studentckiego Koła Naukowego Pracowników Socjalnych, którzy już prowadzili podobne warsztaty.

– Podpisaliśmy kilka umów ze szkołami, ale ta jest pierwszą, którą zawieramy z placówką działającą na terenie środowiska wiejskiego. Bardzo cieszy mnie fakt, że małe szkoły również są zainteresowane współpracą z uczelnią – podkreślała prof. Anna Weissbrot-Koziarska. – Planujemy zajęcia profilaktyczne dla uczniów i doskonalenie warsztatu pracy nauczycieli z uczniami. Chcemy też wesprzeć szkołę w rozwiązywaniu różnych trudnych problemów. Powrót dzieci do nauki stacjonarnej po tak długim czasie pracy z domów nie jest łatwy.

Tematy, które poruszy ten szkolno-universytecki projekt, to chociażby bezpieczeństwo w sieci oraz budowanie prawidłowych relacji pomiędzy rówieśnikami oraz pomiędzy nauczycielami a uczniami. Oprócz tego szkoła ma zostać przygotowana do pro-

wadzenia przedmiotu historia i teraźniejszość. Kierunek o tej samej nazwie funkcjonuje przecież w Instytucie Historii UO.

– Po powrocie z nauczania zdalnego, gdy spotkania rówieśnicze były ograniczone, obserwujemy, jak trudno naprawić takie relacje. To świeży problem nie tylko naszej szkoły, ale i całego szkolnictwa – zaznaczyła Renata Dąbrowska. – Wsparcie ze strony uniwersytetu i rozwój kompetencji społecznych naszych uczniów są niezwykle

ważne. Uczeń powinien umieć sygnalizować swoje problemy, mówić wprost, że czuje się źle lub nie ma wsparcia w rodzinie czy rówieśnikach. Musi też wiedzieć, kogo wtedy poprosić o pomoc.

Podpisanie umowy z uniwersytetem to dla chróścickiej szkoły bardzo ważne wydarzenie. Teraz wspierać ją będą specjaliści, fachowcy w dziedzinie nauk społecznych, w tym nauk pedagogicznych. Współpraca zaangażuje uczniów, rodziców, nauczycieli, studentów i pracowników

REKLAMA

AUTO CZOK Bernard Czok

www.autoczok.pl

ROK ZAŁ. 1986

B
CZOK

24h

CENTRUM POMOCY DROGOWEJ A4

WARSZTAT

- mechanika pojazdowa
- części używane
- lakiernictwo
- blacharstwo
- wynajem samochodów

46-022 Kępa k/Opola ul. Wróblińska 17b tel./fax 77 456 86 58

kom. 602 369 462 (A4) 661 333 777 604 963 702

Prywatne spółki do odstrzału, czyli jak ziemia stała się kiełbasą wyborczą



POLITYKA

Janusz Kowalski, poseł Solidarnej Polski, z billboardu przy zjeździe z ulicy Korfantego w Piastowską w Opolu chwali się, że uratował 250 miejsc pracy w wagonówce. Nie chwali się jednak, że przez jego działania na bruk może trafić tyle samo pracowników Top Farms w Głubczycach, najlepszej spółki rolnej w Polsce.

JOLANTA
JASIŃSKA-MRUKOT

Do protestu rolników indywidualnych w Głubczycach, żądających parcelacji Top Farms, zachęcał Janusz Kowalski. –

Jestem dumny, że jestem tutaj z opolskimi rolnikami i mogę wesprzeć ten ważny protest o polską ziemię – agitował poseł Solidarnej Polski.

Na wsi mieszka 40 proc. Polaków, to olbrzymi elektorat wyborczy, na który łasym okiem patrzą niektórzy politycy, zwłaszcza prawicowi. Przed 2004 rokiem, zanim Polska weszła do Unii Europejskiej, zachęcano rolników, a wręcz proszono, żeby dzierżawili ziemię po dawnych PGR. Ale nie było chętnych. Za to tych, co pojawiali się z obcym kapitałem, chcących zagospodarować ten areał i zatrudnić ludzi, całowano po rękach.

Teraz ziemia jest niezłym biznesem, a Top Farms, spółka z kapitałem zagranicznym,

to największy producent chipsowych ziemniaków w Europie i jeden z największych producentów mleka w Polsce. Spółka prowadzi też plantacje soi, u nas uprawy dotąd niepopularnej, a za sprawą Top Farms właśnie zyskującej coraz większe zainteresowanie wśród polskich rolników. Spółka jest wzorcem jeszcze w wielu innych dziedzinach, bo to firma na europejskim poziomie. Co warto podkreślić, z kadrą techniczną rekrutującą się z byłych pracowników PGR oraz ich dzieci.

Zwolennicy parcelacji ziemi Top Farms i podziału tej ziemi między rolników indywidualnych nie przejmują się zupełnie, że spółka bez ziemi nie przetrwa, a jej pracownicy stracą źródło utrzymania.

Twierdzą, że przecież likwidowano też huty, kopalnie i ludzie musieli się odnaleźć.

– Tylko że tamte to były podpadłe firmy, a nasza jest dochodowa – ripostuje Janusz Guźda, przewodniczący Międzyzakładowego Związku Zawodowego Pracowników Rolnictwa przy Top Farms w Głubczycach.

Ponadto polityczna propaganda wmawia rolnikom, że pieniądze ze spółki płyną poza granice Polski.

– Dywidenda idzie na rozwój firmy, podatki zostają w Polsce, a jak rozparcelują nam firmę, to pójdziemy do okienka pomocy społecznej i taki będzie pożytek – kwituje Guźda.

Pracownicy Top Farms doskonale też wiedzą, że nawet w spółkach skarbu

państwa nie ma w stu procentach kapitału krajowego. Nawet taki Orlen, sztandarowy narodowy czempion, ma zagranicznych udziałowców i jakoś nie słycać, by ktoś protestował.

Guźda zdaje sobie sprawę, że od długiego czasu niektórzy rolnicy patrzą na Top Farms jak na łakomy kąsek, z przekonaniem, że po parcelacji gruntów ta żyzna ziemia na płaskowyżu głubczyckim trafi do nich. Te oczekiwania podsycają niektórzy politycy oraz „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Z ich strony padały nawet propozycje, żeby spółce zabrać 80 proc. dzierżawionych gruntów. Pracownicy Top Farms widzą, co się dzieje, więc oczekują merytorycznej rozmowy, a nie wieceu propagandowego.

– Wiele razy mówiłem, że mamy 250 pracowników, z czego 200 na stałe, a pozostali zatrudniani są sezonowo – mówi Janusz Guźda. – Jednak przewodniczący „Solidarności” Rolników Indywidualnych na Opolszczyźnie nadal twierdzi, że mamy zaledwie 150 pracowników, więc jak 80 procent ziemi pójdzie do rolników indywidualnych, to z tych pozostałych 20 procent będzie można nadal utrzymać załogę spółki. Ale to jest nierealne.

O kłopotach Top Farms Opowiecie.info pisało już kil-

ka razy. Według aktualnego stanu prawnego pod koniec 2023 roku ziemia zostanie odebrana spółce. Skąd wzięł się problem?

W 2011 roku Top Farms nie wywiązał się z ustawowego obowiązku i nie wydzielił 30 procent dzierżawionej ziemi na potrzeby rolników indywidualnych, co uniemożliwia spółce przedłużenie obecnej dzierżawy gruntu. Kupić go spółka też nie może.

Głubczycki Top Farms nie jest jedyny, prywatnych spółek rolnych, które nie wywiązały się z tego ustawowego obowiązku, jest aż 156 w całym kraju. Zostanie im łącznie odebranych 189 tysięcy ha gruntów, bez których nie będą mogły m.in. prowadzić hodowli. To doprowadzi do tego, że około 20 tysięcy pracowników rolnych straci pracę.

„Będzie to powtórka z historii, barbarzyńskich działań ugrupowań politycznych z początku lat 90., kiedy to zesłano w cywilizacyjny niebyt 500 tysięcy pracowników byłych PGR oraz pozbawiono środków do życia ponad 2 miliony członków ich rodzin” – pisze zarząd Związku Zawodowego Pracowników Rolnictwa RF do marszałków Sejmu i Senatu, premiera oraz liderów partyjnych w Polsce, do-

magając się zmiany ustawy z 2011 roku.

Dlaczego Top Farms nie wydzielił ziemi na potrzeby rolników indywidualnych?

– W 2012 roku Agencja Nieruchomości Rolnych (obecny KOWR – aut.) przysłała nam propozycje wyłączeń 30 procent dzierżawionego gruntu – tłumaczy Janusz Guźda. – ANR nie zostawiła nam furtki, by negocjować wyłączenie innych gruntów niż tych koniecznych na uprawę paszy pod hodowlę. Gdybyśmy je oddali, musielibyśmy zlikwidować hodowlę, a przy niej było najwięcej zatrudnionych ludzi, bo aż 180 osób.

Janusz Guźda nie ukrywa, że na tę sytuację oni, ludzie ze związku zawodowego, patrzą tak jak na skok na kasę.

– Część rolników dopiero po 2004 zobaczyła, że ciepłą rączką z Unii dostaną ładne pieniądze w ramach dopłat hektarowych – tłumaczy Janusz Guźda. – A to kilkaset złotych do każdego hektara, więc po wejściu do Unii liczba gospodarstw wzrosła. I zaczął się głód ziemi, którego dotychczas nie było.

Ta ustawa z 2011 roku o wydzielaniu gruntów ze spółek prywatnych miała być zapewne ukłonem w stronę rolników indywidualnych, którzy dopiero po wejściu do

Unii Europejskiej zorientowali się, jaką wartością jest ziemia. A w rękach polityków stała się przysłowiową kiełbasą wyborczą, według zasady: my dajemy wam ziemię, a wy na nas głosujecie.

Teraz można się spodziewać, że przy skłonności PiS do centralizowania wszystkiego spółki takie jak Top Farms po оголоczeniu z większości ziemi staną się spółkami skarbu państwa, na czele których staną ludzie z nadania politycznego, niemający pojęcia o temacie technologii, organizacji i szanowania środowiska.

– I nie wniesie niczego konstruktywnego do naszej działalności – podkreśla Janusz Guźda.

Stracimy wszyscy. Prywatne spółki gospodarują tylko na 6 proc. gruntów rolnych w Polsce, ale dają aż 25 produkcji rolno-spożywczej. Płacą podatki, ZUS pracownikom i są filarem eksportu żywności, który przynosi Polsce blisko 40 mld euro rocznie! Politycy, niszcząc spółki, zarządzają kurę, która znosi złote jaja, żeby zadowolić kilkanaście tysięcy rolników, dając im po kilka hektarów państwowej ziemi do dzierżawy. Co zyskowności ani efektywności prowadzonych przez nich gospodarstw w sposób zauważalny nie zwiększy.



Dziewczynki z Afganistanu uczą się w opolskiej szkole



Dziewczynki pracują pod opieką specjalnie zatrudnionej nauczycielki.

Fot. Uniwersytet Opolski

CHARYTATYWNIE

Uruchomiliśmy zbiórkę na pokrycie kosztów kształcenia naszych podopiecznych Afganek. Dziewczyny są już w zaprzyjaźnionej szkole w Opolu. Jednak świadczenia, które otrzymują rodzice, nie wystarczają na solidną naukę – a zdecydowaliśmy się zatrudnić na pierwsze miesiące nauczycielkę, która je prowadzi – mówi dr Michał Wanke z UO.

ANNA PLEWA

Celem zbiórki zorganizowanej przez Stowarzyszenie Lions Club i Uniwersytet Opolski jest wsparcie grupy piętnastu Afgańczyków ewakuowanych z Kabulu po

przejęciu władzy przez talibów. To byli studenci UO (stypendyści, którzy studiowali tu w latach 2016–2019) oraz rodzina pracownika uniwersytetu.

Uniwersytet Opolski pomaga gościom z Kabulu rozpocząć nowe życie w Polsce

– Osoby te potrzebują wsparcia finansowego, głównie w związku z dalszą edukacją. A także prawnego, psychologicznego i zawodowego, żeby usamodzielnic się w Opolu – czytamy w opisie zbiórki. – Uniwersytet Opolski koordynuje adaptację i nowy start do życia gości z Kabulu. Wymagają oni jednak wsparcia, które pozwoli im zadowolić się w Polsce. Studenci podjęli studia na UO, a rodziny czekają na dokończenie formalności i możliwość zatrudnienia. Wszyscy nasi pod-

opieczni uczęszczają w UO na kurs polskiego i chcą związać się z Polską.

Dziewczynki uczą się w jednej z opolskich szkół

Hajar (11 lat), Elhan (3), Jannat (9), Raihan (6) i od czasu do czasu Zulaikha (2 lata – zbyt mała na przedszkole) pracują pod opieką specjalnie zatrudnionej nauczycielki, która uczy ich polskiego i dba o to, żeby dziewczynki wchodziły w grupy swoich roczników stopniowo i skutecznie.

– Ze względu na to, że włączenie Afganek do przedszkola, a przede wszystkim do szkoły wymaga bardzo dużo uwagi, w porozumieniu z jedną ze społecznych placówek, gdzie znajduje się i szkoła podstawowa, i przedszkole, przygotowano specjalistyczny, integracyjny program intensywnej nauki polskiego

i stopniowego wchodzenia w regularną naukę – informuje dr Michał Wanke z Katedry Nauk o Kulturze i Religii UO i dodaje:

– Nie wymieniamy nazwy szkoły, żeby nie zainicjować nadmiernego zainteresowania, tak wokół dziewczynek, jak i społeczności szkolnej, która bardzo ciepło przyjęła nowe koleżanki.

UO prowadzi zbiórkę – przede wszystkim na pokrycie kosztów kształcenia dziewczynek.

POMÓC MOŻE KAŻDY:

Konto charytatywne
Stowarzyszenia
Lions Club Opole – Bank
Pekao SA. Nr konta:
98 1240 1633 1111 0000
2652 2313, z dopiskiem
„Dla Afgańczyków”.

Kolejne artykuły medyczne już jadą z Opola do Ivano-Frankiwska



POMOC

Uniwersytecki Szpital Kliniczny w Opolu zorganizował zbiórkę artykułów medycznych dla Uniwersytetu Medycznego w Ivano-Frankiwsku i tamtejszego szpitala kardiologicznego.

LESZEK MYCZKA

Kolejny transport medyczny wyjechał także z Opolskiego Centrum Rehabilitacji w Korfantowie. O organizację transportu ponad pięciu ton darów i sprawną koordynację logistyki zadbał Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego.

Uniwersytecki Szpital Kliniczny w Opolu, we współpracy z kontrahentami, firmami partnerskimi, pra-

cownikami szpitala i innymi osobami fizycznymi USK zorganizował zbiórkę artykułów medycznych dla Uniwersytetu Medycznego w Ivano-Frankiwsku i tamtejszego szpitala kardiologicznego.

– Zgromadziliśmy wiele rzeczy, m.in. materiałów opatrunkowych, higienicznych, sprzętu medycznego i innych artykułów. Spakowaliśmy to wszystko w kartony i przygotowaliśmy do przekazania. W sumie zebrało się 20 europalet – podaje Dariusz Madera, dyrektor generalny opolskiego szpitala. Transport to niemal 3 i pół tony darów. – Dary przygotowaliśmy zgodnie z listą potrzeb przedstawioną przez przedstawicieli placówek medycznych z Ivano-Frankiwska – dodaje dyrektor. Załadunek pomocy na ciężarówkę OSM Olesno trwał 1,5 godziny. Paletami i kartonami



Zdjęcia: USK w Opolu

wypełniono całą przestrzeń pakową, od podłogi po dach ciężarówki.

Kolejny, dwutonowy transport darów, wyjechał wczoraj do Miejskiego Szpitala Klinicznego w Ivano-Frankiwsku z Opolskiego Centrum Rehabilitacji w Korfantowie. Dzięki pomocy opolskich firm, które odpowiedziały na

apel marszałka województwa Andrzeja Buły, udało się zgromadzić materiały medyczne i sprzęt chirurgiczny, tak potrzebny w Ukrainie, za około 100 tysięcy złotych. Jak mówi prezes OCR w Korfantowie, Wojciech Machelski, to początek pomocy. – Kolejny transport już przygotowujemy – informuje.

Gmina Dąbrowa. Ponaddwustuletni platan pomnikiem przyrody

PRZYRODA

Platan klonolistny rosnący w zabytkowym parku w Skarbiszowie został ustanowiony kolejnym, po alei dębów w Ciepeliowicach, pomnikiem przyrody w gminie Dąbrowa. Majestatyczne drzewo ma aż 535 cm obwodu pnia i liczy sobie około 214 lat. Jest świadkiem lokalnej historii i dziedzictwa przyrodniczego.

ANNA PLEWA

Ponad dwustuletni platan klonolistny rośnie w centralno-wschodniej części dawnego parku dworskiego w Skarbiszowie. Ogromne drzewo można dostrzec niemalże z każdej części parku.

– Platan zdecydowanie wyróżnia się spośród otaczającej zieleni i przykuwa uwagę. Zasluguje na szczególną ochronę, ponieważ stanowi nasze dziedzictwo przyrodnicze – przekonuje Katarzyna Gołębiowska-Jarek, wójt gminy Dąbrowa. – Odgrywa też ważną rolę społeczną i zdrowotną.

Jednogłośnie decyzja o ustanowieniu drzewa pomnikiem przyrody zapadła na styczniowej sesji rady gminy Dąbrowa.

– Z wnioskiem wyszli sołtys Skarbiszowa Jerzy Niedworok oraz tamtejszy radny Mateusz Ulańczyk, czyli przedstawiciele lokalnej społeczności – mówi pani wójt.

To już trzecia uchwała dotycząca ochrony przyrody, podjęta w gminie Dąbrowa w ostatnim czasie



Nowy pomnik przyrody w gminie Dąbrowa ma aż 535 cm obwodu pnia i liczy sobie około 214 lat.

Fot. Gmina Dąbrowa/FB

Pod koniec sierpnia minionego roku na wniosek Uniwersytetu Opolskiego na terenie zabytkowego parku w Dąbrowie ustanowiono zespół przyrodniczo-krajozrazowy.

– Park przyzamykowy w Dąbrowie to 21 hektarów terenu niezwykle cennego przyrodniczo, zasługującego na ochronę – wyjaśnia Katarzyna Gołębiowska-Jarek. – Wystę-

pują tam wartościowe siedliska przyrodnicze, rozwinięte zbiorowiska łąkowe, grzyby nadrzewne i wiele gatunków chrabąszcza. Gniazduje tam również aż 28 chronionych gatunków ptaków.

Z kolei w październiku minionego roku, decyzją radnych gminy Dąbrowa, pomnikiem przyrody ustanowiona została aleja dębów szypułkowych rosnących w Ciepeliowicach.

– To piękne, dorodne i wiekowe drzewa, część z nich liczy sobie nawet 300 lat – mówi Katarzyna Gołębiowska-Jarek.

Niektóre z ciepeliowickich dębów mają nawet cztery metry w obwodzie i niemal 30 metrów wysokości. Szpaler dziesięciu drzew objęto najwyższą formą ochrony na wniosek Nadleśnictwa Opole.

WIELOFUNKCYJNA GOSPODARKA LEŚNA



Nadleśnictwo Turawa

Wielofunkcyjny charakter lasu to praca kilku pokoleń ludzi, którzy poprzez działania poparte wieloletnim doświadczeniem potrafią połączyć i zrównoważyć wszystkie funkcje lasu – przyrodniczą, społeczną oraz gospodarczą. Od ponad wieku leśnicy w sposób odpowiedzialny utrzymują równowagę pomiędzy możliwością korzystania z lasu, ochroną bioróżnorodności i wykorzystywaniem produkcyjnej funkcji lasu. Gospodarka leśna prowadzona jest w taki sposób, aby zapewnić ciągłość wykorzystywanych funkcji oraz pogodzić oczekiwania płynące z różnych grup społecznych.



Lasy wywierają dobroczynny wpływ na środowisko życia człowieka dzięki swojej zróżnicowanej strukturze. Roślinność leśna wpływa korzystnie na kształtowanie klimatu, zarówno lokalnego, jak i globalnego. Ekosystemy leśne regulują krążenie wody w przyrodzie, przeciwdziałają lawinom i osuwiskom, a także chronią glebę przed erozją. Obszary leśne w skali lokalnej zmniejszają amplitudy temperatur i prędkość wiatru, a w skali globalnej łagodzą zmiany klimatu, ponieważ wiążą duże ilości CO₂. Jako leśnicy od wielu lat dbamy o odpowiedni stan ekosystemów leśnych mających na celu zachowanie różnorodności biologicznej poprzez czynną ochronę cennych siedlisk oraz rzadkich gatunków grzybów, roślin i zwierząt.

Obcowanie z naturą towarzyszyło człowiekowi od samego początku. Już od czasów pierwotnych było to miejsce dające ludziom pożywienie, schronienie,

ciepło. W dzisiejszych czasach las daje społeczeństwu możliwość wyciszenia, jak również aktywnego wypoczynku i rekreacji. Rolą leśników jest zadbać o właściwe udostępnienie lasu. Lasy Państwowe oferują bogatą infrastrukturę turystyczną skierowaną do wszystkich grup wiekowych i społecznych. Do dyspozycji korzystających z lasów są m.in. szlaki piesze, rowerowe i konne, miejsca biwakowania, parkingi leśne, miejsca postoju pojazdu, wiaty, ścieżki zdrowia, platformy widokowe oraz zajęcia edukacyjne przeprowadzane w różnej formie.

Polscy leśnicy, prowadząc zrównoważoną gospodarkę leśną, dbają o zachowanie zróżnicowanego środowiska dla przyszłych pokoleń. To na barkach leśników spoczywa odpowiedzialność za to, jaki las będą odwiedzały nasze dzieci, wnuki i prawnuki. Jako Lasy Państwowe nie tylko pozyskujemy, ale również odnawiamy drzewostany oraz nieustannie

powiększamy arealy leśne poprzez nabycie gruntów i ich zalesianie. Dzięki takim działaniom z dumą możemy pochwalić się stale wzrastającą lesistością naszego kraju. Drewno to surowiec uniwersalny. Pomimo występowania różnych zamienników nieustannie wykorzystywane jest w wielu gałęziach gospodarki – od branży budowlanej po spożywczą. Pozyskiwane drewno w dzisiejszych czasach ma już prawie 30 tys. zastosowań: w energetyce, w budownictwie, do produkcji podłóg, mebli, narzędzi, papieru, instrumentów muzycznych oraz zabawek. Oprócz drewna każdy z nas może korzystać również z innych bogactw leśnych, m.in. grzybów, owoców runa leśnego, choinek czy stroiszu. Potwierdzeniem prawidłowo prowadzonej zrównoważonej gospodarki leśnej są przyznawane od wielu lat międzynarodowe certyfikaty: PEFC™ i FSC®.

Nadleśnictwo Turawa

Kolejna wycinka drzew w Opolu



EKOLOGIA

Opole przygotowuje się do przebudowy placu przed Dworcem Głównym PKP. Na początek wycięto 33 drzewa rosnące do niedawna na placu przed obiektem. Ratusz deklaruje, że na ich miejsce zasadzonych zostanie ponad 50 nowych drzew, a także krzewy i byliny.

ANNA PLEWA

Dlaczego miasto zdecydowało o kolejnych wycinkach w, i tak już ogołoconej z dużych drzew, stolicy regionu? – Drzewa zostały sprawdzone, a opinia dendrologiczna wskazała, że ich stan zdrowia jest bardzo poważny. Badania wykazały obecność grzybów, wypróchnienie, posusz, ubytki w pniach i korzeniach, martwicę. W sumie do wycięcia wy-

typowano 33 drzewa – odpowiada Adam Leszczyński, rzecznik opolskiego ratusza, i dodaje:

– Zostaną one zastąpione znacznie większą ilością drzew i krzewów, które zyskają o wiele lepsze warunki do rozwoju. Ma w tym pomóc m.in. zamontowanie systemu nawadniającego, co zapewni korzyści dla roślin w okresie, gdy opady deszczu będą niewielkie lub nie będzie ich wcale.

W planach jest nasadzenie ponad 50 drzew o obwodzie pnia od 18 do 30 centymetrów. Będą to płatany klonolistne oraz gledicje trójcierniowe. Ponadto pojawią się także rozplenice japońskie (3075 sztuk) oraz ponad 170 sztuk bylin cebulowych (czosnek olbrzymi).

Przebudowa placu dworcowego ma ruszyć wraz z końcem budowy centrum przesiadkowego Opole Główne, czyli jesienią tego roku.



Wycięte drzewa na przydworcowym placu

Fot. Anna Plewa

We antreju przi kafeju



Wiysz synek, nawet jak na chwila dostaniesz trocha władzy, to czowiekiym musisz łostać...

...przytoczone we wstępie zdanie do komentarza pochodzi z pracy, którą zamieszczamy w niniejszym Antreju, pracy nagrodzonej w ubiegłorocznym XXVIII Regionalnym Konkursie Literackim „Ze Śląskiem na ty”. Autorem pracy jest Krzysztof Ogiolda, znany opolski dziennikarz i publicysta. Do jej napisania, jak powiedział w pokonkursowych wywiadach, przymierzał się od dawna. Historia jego bohaterów jest nietuzinkowa. Sam już tytuł daje dużo do myślenia. Autor nagrodzonej pracy pisze o swoich dziadkach. Każde zdanie, każdy kolejny akapit wprowadza czytelnika w świat, którego już dawno nie ma. Starsze pokolenie – a ja się do tych osób już pomału zaliczam, co też piszę z nieukrywana satysfakcją – bardzo dobrze ten świat jeszcze pamięta. W świadomości „szlachetnych” mieszkańców Śląska istniał zawsze i obowiązywał utrwalony tu wielowiekową tradycją porządek. Do niego należały: szacunek do drugiego człowieka (szczególnie osób starszych, osób duchownych i nauczycieli), hierarchia wartości, pokora i wiara, która w najtrudniejszych momentach była zawsze pomocna w rozwiązywaniu różnorodnych problemów. Dziś żyjemy w zupełnie innych czasach. O śląskim szlacheństwie, o którym pisze autor nagrodzonej w konkursie pracy, coraz trudniej dziś rozmawiać. Widzimy to na co dzień. Niestety, przykład idzie z góry.

Zawsze jednak jest czas na odrobinę refleksji i mam nadzieję, że proponowany w tym wydaniu tytuł może być w tym pomocny. Tak więc, gorąco polecam!

Krzysztof Ogiolda – łód Franca Jóskowego.





MOI OŁPOWIE MANUŚ I FILIP ALBO O ŚLĄSKIM SZLACHECTWIE

Miejsce 1.

W kategorii osób dorosłych.
XXVIII Regionalny Konkurs Literacki „Ze Śląskiem na ty”
Łubniana, Luboszyce, Opole 2021

KRZYSZTOF OGIOŁDA

Ołpa Manuś był ojcem mojego ojca. Nie wiem, czy on przyszedł na świat za wcześnie czy ja za późno, w każdym razie mineliśmy się o niespełna cztery lata. Ołpa Filip jest żywo obecny w mej pamięci, choć umarł, zanim zdążyłem pójść do szkoły. Obaj byli prostymi górnikami, śleprami. Nie dorobili się majątku ani znaczenia w świecie. Ale nosili w sobie prawość, uczciwość, pracowitość, pobożność i prostotę. Śląskie szlachectwo, które często obywa się bez herbów i posiadłości. Dlatego chcę o nich opowiedzieć.

Ołpa Manuś (tak o nim w domu się mówiło, choć ojciec o swoich babci i dziadku mówił zawsze: starka i staroszek) urodził się w 1882 roku w Płakowicach, na „czarnym” Śląsku. Na chrzcie dostał imię Emmanuel. Pewnie dlatego, że przyszedł na świat 27 grudnia, zaraz po Bożym Narodzeniu. Był z tego biblijnego imienia i z jego wymowy: „Emmanuel to znaczy Bóg z nami”, bardzo dumny. Ta duma nie przeszkadzała mu żartować z imienia i z siebie. Na 50. urodzinach, parafrazując niemiecką kolędę „Christus ist heute geboren”, śpiewał: „Manuś wird heute geboren. \ Heut' vor 50 Jahren. \ Er hat große lange Ohren \ und hat keine Haare”. Wielkich ani długich uszu nie miał. Ale jedyne jego zdjęcie, jakie przetrwało do obecnych czasów – ze złotego wesela obchodzonego razem z ołmą Anną w 1958 – nie zostawia wątpliwości. Był zupełnie łysy.

W młodości raczej surowy i wymagający, z wiekiem łagodniał. Synom, którzy zawierali małżeństwa i stawiali się sami ojcami, pozwalał, a nawet kazał mówić do siebie po imieniu, po prostu Manuś. – Niy fatruj mi, jak żeś som jest fatrym – mawiał.

Kiedy ojciec dostał kartę mobilizacyjną na wojnę, uprzedził, że będzie się żegnał z kolegami i może wrócić późno i nie całkiem trzeźwy. Ołpa czekał na niego nad ranem. Pomógł mu trafić do łóżka bez słowa wymówki. Kiedy rano tato z trudem podnosił obolałą głowę,



Ołpa Manuś i ołma Anna – 1958 r.

ołpa rzucił z uśmiechem: – Synek, mlyko to i kot wyżere. Do gorzoły trzeba cho-pa.

W rodzinnych wspomnieniach został jako człowiek wesoły, skłonny do żartów i śpiewu. Bez śladów trudnego dzieciństwa. Miał może 10 lat albo i mniej, kiedy razem z gromadką rodzeństwa został zawołany do łóżka ciężko chorego na płuca ojca. Pradziadek Johann z każdym z dzieci osobno się żegnał, dając rady na dorosłe życie i prosząc, by się troszczyli o mamę. Potem dzieci z izby wyproszono, by chory mógł się pożegnać z żoną. Po chwili znów wszyscy mogli wejść do środka. – Staliśmy jak piszczałki organowe od najstarszego do najmłodszego – wspominał ołpa po latach. Chory poprawił się na poduszkach i zaśpiewał: „Wszystka moja nadzieja u Boga mojego, / Nie boję się nieszczęścia i smutku żadnego! / Bóg zasmuci, Bóg pocieszy, / Bo jest Panem wszelkiej rzeszy, / Także i moim”. Drugiej zwrotki śmierć mu nie dała dokończyć.

Dla żony i dzieci zaczął się trudny czas. Nie było emerytur, jakie dziś znamy. Wdowa najmowała się do różnych prac, najczęściej w polu. Czasem za niewielkie pieniądze, a czasem tylko

za jedzenie. Dzielila się nim miłosiernie z dziećmi. Sama musiała być głodna bardzo często. Kiedy umarła, pod jej poduszką znaleziono nieduży zapas wysuszonego chleba. Na czarną godzinę.

Ołpa opowiadał, że kiedy miał lat bodaj czternaście, mama zabrała go do sklepu w Płakowicach. Kupowała na zeszyt, jak się wtedy mówiło, na borg. Żydowski kupiec skrupulatnie odnotował jej dług, a potem spojrzął na stojącego obok ubogiej klientki chłopca i zapytał: – Jak tyn Wasz synek wyglondo? Trza go łoblyc. Nim zdążyła zaprotestować, zabrał Manusia na zaplecze i odział od bielizny i koszuli przez buty i garnitur po palto i czapkę. – Panocku, dyc Wy wiycie, że jo niy mom czym zapłacić – przypomniała mama. – Niy tropcie się. Chopcy zarobom, to zapłacić – odparł.

Nie pomylił się, dostał z powrotem dług co do grosza. A Manuś, który nosił dotąd wyłącznie znośzone ubrania po starszym rodzeństwie, był tak szczęśliwy, że odwiedził wszystkie domy w Płakowicach, żeby pokazać, iż wreszcie i on ma coś nowego. Tej radości musiało być więcej niż zabudowań w niedużej wsi, skoro na koniec pobiegł i gęsiom obwieścić, że ma nowy ancug.

Czwartego lipca 1908 roku ołpa zawarł małżeństwo z urodzoną w Miechowicach (dziś to dzielnica Bytomia) Anną Schneider. Młodsza od niego o siedem lat jedynaczka urodzi dziesięcioro dzieci (troje zmarło we wczesnym dzieciństwie) i wychowa wraz z mężem cztery córki i trzech synów. Miechowice staną się na wiele lat naszym rodzinnym gniazdem.

Manuś – podobnie jak wielu śląskich mężczyzn w jego czasach – pracuje w kopalni. Niestety, ulega zatruciu metanem i lekarz zakazuje mu górniczej roboty. W dodatku odwołuje na bok jego żonę i radzi, by troskliwie opiekowała się mężem, ale też dyskretnie rozglądała się za nowym. Bo przecież sama tej gromadki nie wychowa. Dawał poszkodowanemu górnikowi trzy miesiące życia. Ołma Anna na szczęście posłuchała tylko pierwszej części lekarskiej porady. Ołpa przeżył. Ocalał życie, chociaż stracił wdech. Mawiał z pogodną rezygnacją, że wprawdzie nie może się cieszyć zapachem perfum, ale za to bez wstrętu potrafi iść za baloniokim wiozącym gnojówkę.



Ołpa Filip z wnukami – wczesne lata 60. XX wieku

W okresie plebiscytu na Śląsku uczestniczy żywo w ówczesnych sporach. Słucha radia i orientuje się w racjach obu stron. Pisze żartobliwe, nieco złośliwe wierszyki i z pasją koresponduje z ówczesnymi mediami. Optuje za Niemcami. Nie przeszkadza mu to – już po podziale Śląska – spotykać się co niedziela po niesporach z bratem i jego rodziną mieszkającymi w Bytomiu – Łągiewnikach, czyli w Polsce. Z Łągiewnik do Miechowic można dojść pieszo, więc bracia niedzielną kawę piją na przemian po obu stronach granicy.

Ponieważ nie ma powrotu na kopalnię, zatrudnia się w gminie. Robota słabo opłacana, ale dość prestiżowa. Pewnie pomogły mu dobra opinia, biegła znajomość polskiego i niemieckiego w mowie i w piśmie oraz piękny kaligraficzny charakter pisma. Za urzędniczym biurkiem zastaje go wybuch II wojny światowej.

Pewnego dnia ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. Okazało się, że to robotnik przymusowy z polskiej części Śląska z literą „P” na ubraniu. Przyszedł po przydział kartofli dla siebie i dla rodziny. Urzędnik w pokoju obok nie umiał lub nie chciał się z nim dogadać. Wypisał mu kwit na 5 kilogramów. Dla rodziny tyle co nic. Więc Polak spróbował u ołpy. Ten nakazał mu gestem milczenie, następnie umoczył pióro w kałamarzu, do liczby pięć dopisał zero, tworząc pięćdziesiąt; do wyrazu fünf dodał zgrabnie cząstkę zig i szeptem poprosił interesanta, by starał się z workiem kartofli na wózku zniknąć jak najprędzej.

Minęło – jak mówią w baśniach – czasu mało wiele. Przyszedł front, czarnego orla na ścianie nad biurkiem zastał

pił biały. Ołpa został. Przecież nadal był dwujęzyczny ku radości, a czasem uldze interesantów. Jednym z nich okazał się któregoś dnia mężczyzna w mundurze polskiego oficera. Wszedł śmiało, zasalutował godłu, a potem bacznie przyjrzał się mężczyźnie za biurkiem. – A jo wos znom – oznajmił. – No i to co? – odparł nieprzesadnie grzecznie ołpa. – A wyście tu za Niyemca tyż robiyli – dodał. – No i to co? – powtórzył Manuś jak echo.

Łatwo się domyśleć, że był to ten sam człowiek, który podczas wojny przyszedł prosić o kartofle. Ołpa podobno lubił tę historię opowiadać. Zawsze dodając tę samą puentę: – Wyisz synek, nawet jak na chwila dostaniesz trocha władzy, to czowiekiym musisz łostać.

On człowiekiem był na pewno. Nie tylko uczciwym do bólu, ale i pobożnym. Moja mieszkająca w Niemczech kuzynka Krystyna wspomina, że gdy była dzieckiem, ołpa codziennie w południe mówił „Anioł Pański” i – chodząc po mieszkaniu – różaniec. Ona dreptała za nim. Ze wzruszeniem wspomina, jak opowiadał jej o niebie. Tak barwnie, że dziecko za tym niebem z jego wyobrażenia tęskniło. Może dlatego, że aniołki śpiewały tam pięknie, a może z powodu złotych talerzy, z których zbawieni jedli na niebiańskiej uczcie. Do ołpy i ołmy chodziło się w adwencie pospiewać pieśni przy wieńcu z czterema świecami. Manuś śpiewać umiał i lubił, a przy tym grzał nogi w przeznaczony na drewno wnęce pieca.

Modlił się pod koniec życia, by mógł umrzeć pojednany z Bogiem, nie stając się dla nikogo ciężarem. I został wysłuchany. W pierwszy piątek był w kościele i u Komunii św. Po mszy zatrzymał się

dłużej, by położyć jeszcze z chłopami. W domu – jak opowiadał ojciec – przebierał się, zgodnie z ówczesnym śląskim zwyczajem, z wyjściowego ubrania w „hausancug”. Nieoczekiwanie dla wszystkich nagle z ust, nosa i uszu polala się krew. Wylew nastąpił tak szybko, że ołpa zdążył tylko krzyknąć: „Najświętsze Serce Jezusa, zmiłuj się nade mną”. Był 6 czerwca 1959 roku.

Ołpa Filip, jakiego pamiętam, był już mocno starszym panem. Zdążyłem go odwiedzić – najwyżej kilka razy – kiedy mieszkał w ciepłym, serdecznym domu cioci Marysi (najmłodszej siostry mojej mamy) i wujka Edmunda. Oczywiście w Miechowicach. Przed oczami został mi taki obraz: Ołpa siedzi na niskim stołku i obiera kartofle. Niewysoki, mocno łysawy, w czapce z daszkiem. Widzę go przy pracy, bo też bez niej żyć chyba nie potrafił. Byłem z mą, by z nim choć raz tak naprawdę porozmawiać. Zwłaszcza że pod koniec życia słabo słyszał i nie lepiej widział. Pięćdziesiąt dwa lata pracy pod ziemią zrobiły swoje. Żył trochę w swoim świecie, w którym więcej było milczenia niż słów. Nie pamiętam, żeby się do mnie zwracał po imieniu. Krzysztof to był dla niego obcy dźwięk. Mówił na mnie Jerzik. Może było to skojarzenie z imieniem mojego tatę, a może tylko lubił to imię. Zresztą do swoich wnuczek Reni i Gabrysi, z którymi dzielił dom, też nie zwracał się ich imionami. Nadał im jedno wspólne: Kaśki. Starsza i młodsza.

Ze swoimi Kaškami chodził często do miejscowej cukierni Dietricha. Trzymał je za ręce i dla ludzi z boku wyglądało, że je prowadzi. W rzeczywistości raczej one prowadziły jego. Te moje kuzynki wspominają, że był dla nich nieskończenie cierpliwy. Pozwalał się czesać, a nawet nakrecać na walki włosy, które mu jeszcze na głowie zostały.

Urodzony w 1892 roku, w wieku 14 lat skończył szkołę i został górnikiem. W dniu, w którym rano odebrał szkolne świadectwo, po południu zjechał na szychtę do kopalni. Tego samego dnia zaczął też palić. Na dole został ciskačem. Ciskał, czyli pchał puste wózki do przodka. Starsi górnicy ładowali do nich węgiel. Od niego nikt tego nie oczekiwał. Nie miał nawet łopaty na wyposażeniu. Ale miał serce do roboty i chętną rękę. Wrzucał do wagoników duże kęsy węgla. Brygada pracowała na akord. Górnicy przyczepiali na przemian do kolejnych wózków swoje znaczki. Ostatni wagonik na szychcie przeznaczali zawsze dla Filipa. Ci prości ludzie nie wiedzieli pewnie, co to jest etyka pracy, ale

(Dokończenie na str. 26)



wiedzieli, jak się ją w stosuje. Na koniec miesiąca zebrał się Filipowi bardzo do-
bry – jak na młodego synka – zarobek.

Kiedy wybuchła Wielka Wojna 1914 roku ołpa został kawalerzystą cesarza Wilhelma, czyli Wilusia. Na pamiątkę po wojnie została mu umiejętność konnej jazdy i wyjściowy błękitny mundur. Był podobno bardzo piękny. Moja mama jako młoda dziewczyna pożyczyła go kiedyś od ojca na bal Sodalicji Mariańskiej. Mundur z pierwszej wojny nie przetrwał drugiej. Kiedy do Miechowic w 1945 weszli Rosjanie, masowo wyzwalając mężczyzn z życia, a kobiety z czci, uniform wraz ze szpadą wylądował na gnojoku. Tam go Sowieci nie znaleźli i nie mieli pretekstu do zemsty.

Sam ołpa miał do nich więcej szczęścia niż jego mundur. Kiedy przez Miechowice przechodził front, ocalić głowy mogli tylko ci, co nie dali się wywieść z piwnic swoich domów. Ale ołpa pewnego dnia wyszedł na podwórko sam. Skończyło się drewno, a bez niego nie dało się ani ogrzać – mróz zimą 1945 roku był siarczysty – ani ugotować jakiejś prostej strawy. Czy dwaj sowieccy żołnierze weszli na podwórko przypadkiem, czy zwabił ich odgłos rąbania, już się nie dowiemy. Na ich widok ołpa pożegnał się z życiem. Niczego dobrego się nie spodziewał.

– Na, wejś se drzewa – zaproponował. Pozornie było to zdanie absurda, bo po co frontowemu żołnierzowi drewno. Ale zadziałało. Może dlatego, że nie zabrzmiało bojcowi po niemiecku? Włożył rękę za szynel munduru, ale wyciągnął nie pistolet, tylko machorkę. Z drugiej kieszeni dobył jakieś skrawki gazety. Zrobili skręty i zakurzyli. Już bez słowa. Po chwili Rosjanie zasalutowali do czapek i poszli. Ołpa pracowicie pozbiierał drewno na rozpalakę.

Znacznie wcześniej – 17 czerwca 1922 roku – ożenił się z młodszą od siebie o 10 lat Cecylią Pietrek. Musiał ją bardzo kochać. Nazywał ją zdrobniale Celką i – jak opowiadała mi mama,

ich najstarsza córka – woził żonę zimą przez Miechowice w stronę lasu na san-
kach, jak młodszą siostrzyczkę. A kiedy zdarzyło mu się pójść do gospody na piwo albo – rzadziej – na ciwartkę, zabierał ją ze sobą. Niezrażony wcale, że inni mężowie tak nie robią. Kiedy ołpa Cila chorowała, nie oglądał się na nikogo i sam brał się za sprzątanie, mycie naczyń i inne tzw. babskie roboty. Tylko wtedy zamykał drzwi mieszkania na klucz. Zwyczajnie – jak na familok przystało – były zawsze otwarte. Każda ciotka mogła wejść w porę i nie w porę. Ale przy tej robocie nie chciał być widziany.

Poza tym nie bał się być sobą. Nawet gdy robił zupełnie inaczej niż wszyscy. W czasach, kiedy normą było bicie dzieci i w domu, i w szkole, ołpa – ojciec szóstki dzieciaków (nie licząc tych, które zmarły) – mówił, że jak ktoś charakteru niy mo, to mu go nie wbijes. Janusz Korczak nie powstydziałby się takiego zdania. Ale ołpa nie wiedział o Korczaku. Znalazł tę wrażliwość i mądrość w sobie.

Był bardzo ciekawym połączeniem zewnętrznej twardości i wewnętrznej ciepła. Pracował ciężko. Większość spędzonego pod ziemią półwiecza na nocnej zmianie. Bo wtedy na kopalni odbywały się rabunek i zamułka. Rabunek nie polegał na kradzieży. Górnicy rozbierali, czyli rabowali obudowę już niepotrzebną w pokładach, z których wybrano węgiel. Puste przestrzenie zamułkarze wypełniali piaskiem z wodą. Robota ciężka i niebezpieczna, ale nie najgorzej płatna. Mama opowiadała, że ołpa miał tak twarde od łopaty palce, że fajkę przypalał wyjętym z pieca gołą ręką kawałkiem węgla wziętym z boku paleniska.

Wrażliwością wykazywał się wiele razy. Kiedy jego Celka chorowała już naprawdę ciężko, na śmiertelną wtedy – pod koniec lat 50. – białaczkę, przyszła jej kiedyś chęć na kawałek jagnięciny. Trzeba było zabić kozłatkę. Ale o daro-

wanie mu życia prosił ze łzami mój chodzący wtedy do młodszej podstawówki brat, Marcin. Kiedy w dodatku kozłatko zaczęło lizać ołpy rękę, wzruszenie wzięło górę.

Sprawdzał się jako mąż, jako ojciec i jako syn. To ostatnie jest o tyle nieoczywiste, że rodzona mama osierociła go w dzieciństwie. Ojciec ożenił się powtórnie, a druga mama – tak mama, nikt jej nigdy nie nazywał macochą, bo nią nie była – mogła zawsze liczyć na dobre słowo i na pomoc. Odwdzięczała się pięknie. Kiedy Filip był już dorosły i miał własną rodzinę, ołpa w dniu jego urodzin szła przez Miechowice – mieszkała dość daleko – by złożyć mu życzenia. W jednej ręce niosła widoczny dla wszystkich bukiet, drugą rękę ukrywała wstydliwie pod zapaską. Niosła w niej paczkę, a może dwie, papierosów. – Kajs to Zuzko idziecie? – pytały kobiety krzątające się przy furtkach albo przypatrujące się światu z parterynych okien familoków. – A dyc Filip mo Gyburstag – odpowiadała. I w ten sposób ołpa świętował 21 sierpnia urodziny z całą okolicą.

Ołpa zakończył życie 18 czerwca 1970 roku. Nie zdążyli go wypisać ze szpitala do domu. Przy śmierci był dyskretny jak za życia. Sąsiad z łóżka obok zauważył tylko, że zanucił sobie cicho jakąś kościelną melodię. Zdawało mu się, że to psalm. Wnuczki, Renia i Gabrysia, wspominają, że wieść o jego śmierci przyniósł do ich domu wujek Ernst, najstarszy z synów ołpy. Bardzo się starał przy tym nie przerazić dzieci.

Pamiętam ten dzień i ja. Kiedy mama zawołała mnie z podwórka, nie podejrzewałem niczego. Na stole w kuchni czekały – jak co dzień – kromki na talerzu i picie w fajansowym kubku. Zanim rzuciłem się jeść z zapalem siedmiolatka, poszukałem wzrokiem mamy. Siedziała na ryczce w kącie. W jednej ręce trzymała telegram, w drugiej różaniec. Zrozumiałem bez czytania, co się stało...

SPONSORZY KATEGORII:





XXII Gala

Laurów Umiejętności i Kompetencji 2021

*31 marca 2022
o godzinie 18.00*

w auli

Wydziału

Teologicznego

Uniwersytetu Opolskiego

ul. Drzymały 1

Opole

Ludzie otwierają serca, portfele i mieszkania

WOJNA

Opolanie niosą doraźną pomoc, ale trzeba pomyśleć o pomocy na dłużej, bo nikt nie wie, ile potrwa wojna na Ukrainie, ilu jeszcze przybędzie do nas uchodźców i jak długo tu pozostaną.

JOLANTA
JASIŃSKA-MRUKOT

Natasza z roczną córeczką trafiła do Opoli w ostatnią niedzielę lutego. Jej mąż walczy, ale z dala od Kijowa, gdzie mieszkali. Ona z dzieckiem uciekła, kiedy Rosjanie zaczęli ostrzeliwać stolicę Ukrainy. Z granicy przywiózł ją Dymitr, który w Opolu jest z rodziną od trzech lat.

– Ta sytuacja jest nierealna, trudno w to, co się dzieje, uwierzyć – mówi 35-letnia Natasza.

Dymitr, który z kolegą przywiózł Nataszę do Opoli, teraz bardzo się miota, bo tam koledzy walczą, a jego przed wyjazdem na wojnę wstrzymuje żona.

Natasza zatrzymała się u jednej z opolskich rodzin, która otworzyła serce na przybysz z Ukrainy.

Nadia w rozmowie z Opowiecie.info dziękowała wszystkim Polakom, że otworzyli serca dla Ukraińców uciekających przed wojną. Bo pomoc rzeczywiście płynie z każdej strony, ta indywidualna i zorganizowana przez instytucje. Lista tych, którzy otworzyli serca dla Ukraińców jest tak długa, że nie sposób ich wszystkich wymienić.

Zbiórka darów jest organizowana w wielu miejscach, m.in. w świetlicy Narnii, w Centrum Dialogu Obywa-



– To miejsce pokazuje, jak ważne jest, żeby łączyć oddolne działania i razem nieść pomoc – podkreślił podczas konferencji prasowej Jakub Lasek, koordynator Opolskiego Centrum Wolontariatu. – Chcemy jak najszybciej i najlepiej pomóc uchodźcom z objętej wojną Ukrainy.

Fot. Jolanta Jasińska-Mrukot

telskiego, kościołach, m.in. w kościele Franciszkanów w Opolu, oraz centrach handlowych. Z kolei zbiórkę apteczek dla walczących Ukraińców zorganizował Marcin Banaszkiewicz, opolski przedsiębiorca i znany społecznik.

Do akcji włączyły się nawet opolskie kluby sportowe, m.in. UKS Trolik, który prowadził zbiórkę dla klubów unihokeja z Iwano-Frankiwska i obwodu lwowskiego. Oprócz tych codziennych rzeczy, śpiworów i medykamentów, ukraińscy trenerzy prosili opolan o ... kamizelki kuloodporne, ponieważ mieszkańcy obwodu lwowskiego szukają się do odpięcia wroga.

Wiele opolskich rodzin już pierwszego dnia wojny zadeklarowało, że przyjmą u siebie ukraińskie rodziny. Wśród nich był ks. Wojciech Pracki, proboszcz opolskiej parafii augsbursko-ewangelickiej.

Zbiórki organizują także Ukraińcy od lat mieszkający w Opolu, m.in. Aleksandra Prokofiewa z Kijowa, która na Opolszczyźnie jest od trzech lat. W ostatni weekend lutowy zbierała wraz z wolontariuszami dary w dwóch punktach przy ul. Krakowskiej. Zbiórkę pod wpływem impulsu ogłosiła w piątek po południu i nie wiedziała, czy będzie jakiś odzew. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania.

– To jest odzew serca, a skala tej odpowiedzi naprawdę jest ogromna, za co bardzo Polakom dziękujemy – mówiła przez łzy Aleksandra, która stworzyła też bazę opolskich rodzin chętnych do przyjęcia u siebie przybysz z Ukrainy. – Dary dowieziemy tylko do granicy, nie będziemy jej przekraczać, bo później mógłby być problem z powrotem do Polski.

Roman Kozieł, opolski przedsiębiorca i społecznik, który zawsze pojawia się jak dobry duch tam, gdzie inni potrzebują pomocy, zorganizował transport herbaty, kawy i tego wszystkiego, o co prosili go Ukraińcy. Kozieł podkreśla jednak istotny problem – brak koordynacji akcji pomocy, co sam zaobserwował na granicy polsko-ukraińskiej. Wysyłane są kolejne transporty, ale często akurat nie z tymi darami, których potrzeba Ukraińcom koczującym na granicy.

– Często trafia tam pomoc, która dopiero będzie potrzebna, kiedy Ukraińcy rozgoszczą się już w Polsce – tłumaczy Roman Kozieł. – Teraz bardzo potrzebne są koce, śpiworzy, namioty.

Potrzeba koordynacji sprawiła, że np. w Opolu powstało Miejskie Centrum Pomocy Uchodźcom w Opolu, które działa całą dobę w Centrum Aktywizacji Społecznej (CAS) przy ul. Krakowskiej.

– To miejsce pokazuje, jak ważne jest, żeby łączyć oddolne działania i razem nieść pomoc – podkreśla Jakub Lasek, koordynator Opolskiego Centrum Wolontariatu. – Chcemy jak najszybciej i najlepiej pomóc uchodźcom z objętej wojną Ukrainy.

Uchodźcy mogą się tu zgłaszać o każdej porze dnia i nocy. Nie powinno być więc sytuacji, że ktoś nie otrzymał tej pomocy tylko dlatego, że trafił do nas w nocy wprost z pociągu.

Polscy zryw pomocowy to jedno, ale teraz trzeba będzie na miejscu ułożyć wzajemne relacje z uchodźcami. Szczególnie istotna jest pomoc kobietom z dziećmi, których mężowie giną w sąsiednim kraju. Matkom trzeba będzie znaleźć pracę, a ich dzieciom miejsca w szkołach.

Miro Klose spotkał się online z dziećmi

SPORT

Dzieci trenujące w niemieckojęzycznych szkołkach piłkarskich „Miro” w Bogacicy, Chrzastowicach, Dobrodzieniu, Długomiłowicach, Jemielnicy, Krośnicy, Leśnicy, Łanach, Staniszcach Wielkich, Walcach, Wieszowej spotkały się online z patronem szkółek – Miro Klose.



Fot. TSKN

LESZEK MYCZKA

To spotkanie było dużym przeżyciem dla wielu naszych najmłodszych piłkarzy – mówi Mateusz Bachem koordynator, Miro Deutsche Fussballschule – Pochwaliliśmy się jak nasze szkółki w ostatnich latach się rozwinęły, jakie formy aktywności proponujemy najmłodszym zaczynając od

treningów poprzez rozwój językowy dzięki wprowadzonym w ubiegłym roku asystentom językowym, kończąc na turniejach, szkoleniach i spotkaniach. Po tej prezentacji każda ze szkółek miała możliwość zadać 2 pytania mistrzowi świata.

Dzieci oczywiście pytały o najlepszych zawodników z jakimi grał Miro, który klub według niego jest najlepszy.

Interesowało je też, jaka jest ulubiona muzyka czy ulubione jedzenie. Przy tym ostatnim Miro przyznał się, że uwielbia makaron, który z resztą jak się okazuje dla piłkarzy jest bardzo dobry, bo dostarcza węglowodanów.

Padło również pytanie o przyszłość i karierę Miro Klose. Jak sam powiedział, przez ostatnie 5 lat bardzo mocno przygotowywał się do zawodu trenera i nie może

się doczekać by jak najszybciej rozpocząć pracę jako trener. Stwierdził również, że „chce resztę swojego życia poświęcić na to, co kocha robić i nie tracić czasu na sprawy, które nie sprawiają mu frajdy.”

Na pytanie, kiedy znów na żywo odwiedzi szkółki Miro odpowiedział: Najszybciej jak to tylko będzie możliwe.

Aby połączyć naukę z dobrą zabawą oraz biorąc pod uwagę również troskę o dobrą kondycję sportową dzieci, Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim zainicjowało w 2015 r. powstawanie niemieckich szkółek piłkarskich Miro Deutsche Fussballschule. Miro Deutsche Fussballschule jest alternatywą dla tradycyjnych szkółek piłkarskich. Tam dzieci nie tylko zdobywają szlify piłkarskie pod okiem profesjonalnych trenerów, ale również uczą się języka niemieckiego poprzez sport.

Odwieczni rywale zmierzyli się w derbach

Victoria Chróścice drugi raz z rzędu pokonała TOR Dobrzeń Wielki w piłkarskich derbach gminy. Chróściczanie triumfowali 2:0 po golach Marka Waindoka i Michała Budnika. To drugie z rzędu zwycięstwo Victorii nad TOR-em w meczu ligowym i drugie z rzędu na stadionie w Dobrzeń Wielkim.

O pierwszej połowie nie można napisać wiele dobrego. Oba zespoły jakby budziły się z zimowego snu, a mecz w żadnym momencie nie przypominał derbów. Oczywiście piłkarze stworzyli dwie lub trzy groźniejsze okazje, ale poza tym gra toczyła się głównie w środku pola.

Więcej, bo chociażby dwa gole, można było obejrzeć w drugiej połowie. Oba zespoły popełniały błędy, ale zemściły się one tylko na dobrzeniakach. W 72 minucie, po gapie defensorów, sytuację sam na sam z bramkarzem wykorzystał Marek Waindok. Sześć minut później to samo zrobił Michał Budnik, który skorzystał na zamieszaniu w polu karnym, znalazł pustą przestrzeń w bramce i właśnie tam skierował piłkę.

TOR nie zdążył już odrobić straty, podobnie jak zeszłym razem. W ciągu ostatnich 10 lat dobrzeniacy wygrali bowiem



Victoria Chróścice drugi raz z rzędu świętowała triumf na stadionie TOR-u Dobrzeń Wielki. Fot. Tomasz Chabior

czterokrotnie, dwukrotnie padł remis, a dwa razy wygrała Victoria. Jej zwycięstwa to dwa ostatnie mecze ligowe pomiędzy tymi dwiema drużynami.

TCH

W Łubnianach rywalizowali najlepsi skaciaci w województwie

SPORT

Mistrzostwa województwa opolskiego oraz otwarte zawody skata sportowego odbyły się 19 lutego w Łubniańskim Ośrodku Kultury. W pierwszym turnieju uczestniczyło szesnastu najlepszych skacistów w regionie, a w drugim: chętni miłośnicy tej dyscypliny.

TOMASZ CHABIOR

W Polsce działa dziesięć okręgowych związków skata. Dla Opolskiego Związku Skata takie mistrzostwa, jak te rozegrane w Łubnianach, to jeden z najważniejszych elementów dzia-

łalności. W każdym sezonie organizuje on siedem grand prix będących eliminacjami właśnie do indywidualnych mistrzostw województwa. Uczestniczy w nich szesnastu najlepszych graczy wszystkich grand prix.

W Łubnianach wystartowała więc opolska śmietanka. Najlepszym z zawodników okazał się Piotr Kaszuba (Nitron Krupski Młyn). Za nim uplasowali się: na drugim miejscu Antoni Światała (Kuźnia Zawadzkie) i na trzecim Marcin Szymski (Victoria Tranzyt Chróścice).

Indywidualne Mistrzostwa Województwa Opolskiego w Skacie Sportowym o Puchar Wójta Gminy Łubniany Pawła Wąsiaka, bo tak

nazywały się te zawody, były jednym z dwóch turniejów, które odbyły się tego dnia w Łubniańskim Ośrodku Kultury. Drugi był już mniej elitarny, bo zgłosić się do niego mógł każdy chętny.

W Otwartym Wojewódzkim Turnieju Skata Sportowego o Puchar Dyrektora ŁOK zwyciężył Alfons Gruszka ze Swornicy Opole-Czarnowasy. Kolejny zawodnik Swornicy – Paul-Józef Dzierżawa – stanął na trzecim stopniu podium. Obu panów przedzielił Józef Hadamek reprezentujący Karolinę Gogolin.

Zawody zorganizowały Łubniański Ośrodek Kultury, gmina Łubniany i oczywiście Opolski Związek Skata z prezesem Pawłem Kiszka na czele. To jedne z wielu

turniejów, za którymi stoi regionalny związek. Inne odbywają się między innymi w Kędzierzynie-Koźlu, Zawadzkiem, Kluczborku, Krupskim Młynie, Kochciach, Strzelcach Opolskich, Gogolinie, Opolu-Borkach, Opolu-Czarnowasach, Nakle, Dobrzenu Wielkim, Kolonowskiem, Pawonkowie, Białej czy Głogówku.

Oprócz opisanych już zawodów Opolski Związek Skata organizuje też rozgrywki opolskiej ligi okręgowej i eliminacje do drużynowego pucharu Polski. Nadzoruje też przestrzegania statutu przez okoliczne kluby, których obecnie jest 19. Dla porównania: w całym kraju funkcjonuje 128 klubów. Zarejestrowanych skacistów jest natomiast 1500.



W mistrzostwach województwa rywalizowała śmietanka opolskiego skata sportowego, a w otwartym turnieju chętni miłośnicy tej dyscypliny. Fot. Gmina Łubniany

ZAKSA Kędzierzyn-Koźle zdobyła pierwsze trofeum w sezonie

SPORT

Pokonując kolejno AZS AGH Kraków (3:1), Indykpol AZS Olsztyn (3:1) i Stal Nysa (3:1), kędzierzynianie awansowali do turnieju finałowego w hali Orbita we Wrocławiu. Tam kolejno 26 i 27 lutego ograli Trefl Gdańsk (3:1) oraz Jastrzębski Węgiel (3:0) i sięgnęli po Tauron Puchar Polski.

TOMASZ CHABIOR

Koziołki” dokonały tego po raz dziewiąty w historii i pod tym względem są najlepszym polskim klubem siatkarskim. Wyprzedzają Indykpol AZS Olsztyn i Skrę



Do pucharu Polski kędzierzynianie mogą niedługo dołożyć mistrzostwo kraju i triumf w Lidze Mistrzów. Jednak dopóki piłka w grze. Fot. Tomasz Chabior

Bełchatów, które zdobyły do tej pory po siedem pucharów Polski. ZAKSA wywalczyła to trofeum drugi raz z rzędu i po raz szósty w ciągu... dekady.

– Każdy nasz mecz w tegorocznej edycji rozgrywek był meczem trudnym. Za każdym

razem mieliśmy problemy i musieliśmy dobrze reagować na nasze kłopoty – mówił Aleksander Śliwka, kapitan ZAKSY. – Zawsze jednak kończyliśmy jako zwycięzcy, a finał był paradoksalnie najspokojniejszy. To zasługa naszej koncentracji do ostatniego

gwizdka. Jestem dumny z tego, jak rozegraliśmy finał jako zespół.

Tauron Puchar Polski to pierwsze trofeum wywalczone przez ZAKSĘ w bieżącym sezonie. W najbliższych tygodniach powalczy też o zwycięstwo w PlusLidze, której jest liderem, oraz w Lidze Mistrzów, w której broni tytułu z zeszłego roku.

W drugim przypadku drużyna z Opolszczyzny znalazła się w półfinale, choć nie wystartowała jeszcze ćwierćfinały. To z powodu decyzji Europejskiej Konfederacji Piłki Siatkowej, która z powodu rosyjskiej agresji na Ukrainę wykluczyła z rywalizacji rosyjskie drużyny. Wśród nich był ćwierćfinałowy rywal ZAKSY, Dynamo Moskwa, dlatego kędzierzynianie awansowali walkowerem.

Młodzieżówka opolskiej lekkoatletyki przywiozła medale z mistrzostw Polski

SPORT

Katarzyna Kokot, Filip Rak, Maja Kleszno, Aleksandra Raróg, Ignacy Bryll, Olivia Greiner i Julia Kłama przywieźli łącznie pięć medali z halowych mistrzostw Polski juniorów w lekkoatletyce w Rzeszowie. Trzy z nich były złote, a dwa brązowe.

Mistrzostwa, które odbywały się w stolicy województwa podkarpackiego, trwały od 11 do 13 lutego. Reprezentanci Klubu Uczelnianego Akademickiego Związku Sportowego Politechniki Opolskiej wypracowali tam całkiem przyzwoity wynik.

Katarzyna Kokot, która przeskoczyła poprzeczkę zawieszoną na wysokości 177 cm,

zdołała zdobyć złoty medal w skoku wzwyż. Było to jej czwarte złoto w zawodach tej rangi, na koncie ma także srebro i brąz. Dwa z tych krążków wywalczyła na mistrzostwach Polski w Toruniu, a po jednym w Radomiu, Włodawku i Tarnowie.

– Nie chcę mówić, że miałam pewną przewagę, ponieważ na innych zawodach nie skakałam tak dobrze, jak chciałam. Potwierdza to fakt, że nie miałam lidera. W hali nigdy nie szło mi zbyt dobrze, ale jak widać: zdarzają się gorsze i lepsze dni – podkreślała Katarzyna Kokot. – Teraz miałam te lepsze, a stawka była mocna. Alicja, która w tym sezonie jest liderem, skakała dobrze i ładnie. Natomiast Ada zaskoczyła siebie i chyba wszystkich wokół. W trójkę stanęliśmy na podium.



Dla Katarzyny Kokot był to czwarty złoty i szósty w ogóle medal mistrzostw Polski. Fot. Archiwum prywatne

Katarzyna Kokot to reprezentująca barwy opolskiego AZS-u wychowanka LUKS Podium Kup. Podobnie Filip Rak, który z Rzeszowa przywiózł dwa medale: złoto w biegu na 1500 m i brąz w sztafecie 4x400 m. W drugiej konkurencji wystartował razem z Julią Kłamą, Ignacym Bryllem i Oliwią Greiner.

Kibiców młodzieżówki klubu z Politechniki Opolskiej powinny ucieszyć również występy Mai Kleszno oraz Aleksandry Raróg. Pierwsza z nich wygrała w Rzeszowie pięciobój, a druga – w tej samej konkurencji – wywalczyła brąz.

TCH

Darmowy samochód
zastępczy dla Klientów sieci
partnerskiej!



Q-SERVICE
KOŁODZIEJ

25 lat

Q-SERVICE
KOŁODZIEJ

Dobrzeń Wielki
ul. Sokołów 3



Centrum likwidacji szkód
dla sieci partnerskiej

ERGO
HESTIA®


UNIQA

Allianz 

TEL. 77 4696 371 KOM. 603 192 195